

Fantastyczne historie

Antyradek

9 września 2017

Spis treści

1	Kontakt bezpośredni	5
2	Na pewno nie jest pan wilkołakiem	13
3	Ksiądz	19
4	Bitwa na klawiatury	25
5	Uniwersalny tort	33
6	Sam przeciw wszystkim	47

Rozdział 1

Kontakt bezpośredni

Tematem pracy jest czarno-biały świat. Ziemowit i Psychit lądują na dziwnej, czarno-białej planecie i próbują zrozumieć zastaną cywilizację.

Dźwięki doskonale zsynchronizowanej opery na dwanaście głosów wypełniały przestrzeń kokpitu.

— Dziennik pokładowy, wpis numer... och, jeden. — Psychit uderzał mackami rytmicznie w klawiaturę. — Misja typu kontakt bezpośredni z niezbadaną wcześniej cywilizacją. Uczestniczą potwór Psychit i Ziemianin Ziemowit.

— Urodziłem się na Felicji — poprawił potwora Zimi. — Od ostatniej wizyty na Ziemi nie chcę mieć z nią już nic wspólnego.

— I tak nikt tego nie będzie czytał — odpowiedział Psychit, nie odrywając wzroku z ekranu — ...Felicjanin Ziemowit. Statek typu strzałkowiec piątej generacji, napęd na pręty operowe. Nazwa?

— Jeszcze nie wymyśliłem. Myślisz, że tak prosto nadać imię, gdy przed chwilą dostało się swój własny, ukochany statek? To trzeba przemyśleć — wyjaśnił Ziemowit. — Poza tym jakie to ma teraz znaczenie? Chyba nie wierzysz w te przesady, że latanie nienazwanym statkiem przynosi pecha?

— Nie, ale łatwiej jest później kompletować jego fragmenty, gdy eksploduje. — Psychit wyszczerzył srebrzyste zęby. — Powierzchnia planety jest całkowicie biała. Na razie brak reakcji ze strony mieszkańców. Rozpoczynamy podchodzenie. Ziemowit prawdopodobnie znowu połamie wszystkie pręty.

— Nie pisz tego! — oburzył się Zimi i pociągnął tak nieuważnie stery, że jeden z dwunastu prętów rozsypał się z dźwiękiem mordowanej śpiewaczki operowej.

Reszta lądowania odbyła się bez niedogodności, nie licząc złośliwego uśmiešku na paszczy Psychita.

Planeta okazała się przykryta grubą warstwą chmur, światło centralnej gwiazdy rozpraszało się całkowicie i produkowało depresyjny, jesienny dzień. Pod nimi, na powierzchni równie białej, jak niebo, zobaczyli niewielkie skupiska czarnych domków. Ziemowit postanowił postawić swój stateczek na skraju małego miasteczka.

Wszystko na tym świecie było czarno-białe. Biała trawa, kamienie i chodniki kontrastowały z murami z czarnej cegły i mieszkańcami ubranymi we wzorzyste ubiory. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby przy kontakcie bezpośrednim nie powstał chaos, a mieszkańcy nie uciekali przed intruzami w popłochu. Odpowiedniki wojska pojawiały się zazwyczaj w przeciągu dwóch kilopulsów. Tym razem wszyscy kontynuowali swoje czynności. Co jakiś czas, niektórzy ukradkiem przyglądali się gościom, ale zaraz wszechobecni policjanci zwracali im uwagę głośno bucząc. Zimi postanowił nazwać ich dyrygentami, bo tak śmiesznie wymachiwali patyczkami.

Mieszkańcy planety nie wyróżniali się niczym szczególnym. Mieli po dwie nogi, kręcone rogi na głowach i cztery ręce. Dość normalne, zważywszy na różnorodność całego wszechświata. Nienormalne natomiast było ich zachowanie. Każdy chodził prosto, jak po linie, ze stałą prędkością lub całkowicie stał w miejscu. Wszystkie czynności mieszkańcy wykonywali grupowo, do taktu.

Co ciekawe, to Zimi i jego statek przyciągali najwięcej spojrzeń, a nie stojąca przy nich kolczasta, pięciometrowa, zębata bestia. Tak się złożyło, że Psychit także był czarny, ze srebrnymi pazurami i kolcami w kształcie wielkich igieł chirurgicznych, widocznie to uchodziło za całkowicie normalne w tym świecie, w przeciwieństwie do wściekle pomarańczowego strzałkowca i ubranego specjalnie pod jego kolor pilota. Ziemowit nieśmiało poprawił kaptur swojej bluzy.

Oprócz dyrygentów z pałeczkami i różnorodnie ubranych obywateli, po miasteczku kręciło się także całe mnóstwo malarzy. Każdy z nich dźwigał dwa wiadra z farbą i biegając po całym mieście malowali na bieżąco wszystkie obtłuczenia, pobrudzenia i szarości świata. Mała grupka nieustraszenie zebrała się obok przybyszów, chyba aby rzucić się na Ziemowita i go „naprawić”, lecz Psychit warknął na nich tak, że uciekli, rozlewając farbę. Jednak jeden, najmniejszy malarz zaraz wrócił i starannie zamalował ślad uciekinierów.

Dwójka dziwaków (a właściwie tylko jeden dziwak) szła środkiem chodnika z równą prędkością, taką jak wszyscy. Zwolnili na chwilę, przechodząc na bok, aby obejrzeć wspaniałą fontannę w centrum. Mała rzeczka wpływała u dołu i wytryskiwała z pomnika na szczycie w nudnobiałe niebo. Być może fontanna uczestniczyła w produkcji tych całych chmur. Gdyby nie rozproszenie światła przez niebo, mieniłaby się zapewne wszystkimi kolorami tęczy.

Wielu mieszkańców, po kolei nabierało z niej wody do wiader i od razu duszkiem wypijało, pod czujnym okiem dyrygentów. Całe szczęście, że woda jest przezroczysta i nie trzeba jej barwić.

Naraz wokoło przybyszów zerwało się wielkie buczenie. Wszyscy dyrygenci skakali wokół, krzycząc coś w niezrozumiałym języku, a z daleka nadbiegała, tym razem chyba prawdziwa policja, z elektrycznymi włóczyniami. Ziemowit sięgnął do pasa po szyfrator, aby zamrozić ich w splocie czasoprzestrzeni, ale potwór nie chciał się bronić. Postanowili więc pokojowo rozwiązać konflikt.

Kłując swoich gości w plecy, policjanci zaprowadzili ich do budynku z kratami w oknach i zamknęli w dużej celi. Na szczęście środek budynku był biały, więc nie było to aż tak depresyjne miejsce, na jakie wyglądało z zewnątrz.

— Ciekawe, co z nami zrobią? Mają tu sąd, będą chcieli się porozumieć jakimś językiem migowym, a może zaraz nas wypuszczą i ugoszczą w pałacu? Zdarzało się to już przecież — Zimi bombardował pytaniami swojego znajomego.

Potwór wzruszył ramionami i wskoczył na łóżko, które zarwało się pod jego ciężarem.

— Demolowanie im mebli na pewno nam nie pomoże — Zimi skarcił Psychita. — Myślę, że nikt ich nie budował, żeby wytrzymywały trzy tony.

— Wypraszam to sobie, nie jestem aż tak wielki. Ważę jedynie dwie i pół tony, a to spora różnica — ryknęło monstrum. — I to ich wina, powinni byli być przygotowani na przyjęcie członków jednej z czołowych organizacji wszechświata. Większość cywilizacji słyszała o nas i zawsze jest gotowa na nasze przyjście.

— Większość cywilizacji słyszała o was tyle, że jesteście morderczymi jaszczuropolodbnymi istotami zabijającymi w okrutny sposób całe populacje i jedzącymi małe dzieci — poprawił Zimi, gapiąc się przez okno. — Podobno jest was tyle, że niszcycie sprawnie całe galaktyki. Niezłe legendy jak na dziewiątkę istot na cały wszechświat.

— To Pyrroq zjada chętnie dzieci, nie ja — bronił się. — Poza tym, jak wiesz, zabijanie kogokolwiek jest od ponad osiemdziesięciu gigapulsów, znaczy tych... waszych dwóch tysięcy lat zabronione, zwłaszcza dla nas. Teraz mamy być posłusznymi zwierzątkami i nieść pokój i szczęście. Już raz Niebo ukarało mnie utratą mocy na... em... miesiąc. Straszne przeżycie. Ty jeszcze nie masz mocy, więc co możesz wiedzieć. To tak jakby ci ktoś odciął ogon, skrzydła, wszystkie kończyny i zostawił dryfującego w przestrzeni kosmicznej.

— Mieszkam na Felicji! — Zimi się odwrócił. — My też liczymy czas w pulsach, mam już gdzieś ziemskie lata! Zapamiętaj, że...

Przerwał w połowie zdania, bo trójka policjantów z włóczyniami przyszła i otworzyła kratę, wyprowadzając więźniów. Psychitowi zamknęli na rękach kajdany między pierwszym a drugim kolcem, tak sprawnie, jakby aresztowali istoty z kosmosu regularnie.

Poprowadzili ich do wielkiego pokoju, na środku którego widniała spora konstrukcja. Miała ona wiele igieł, świdrów i harpunów skierowanych do środka, gdzie przymocowana była krata z pasami. Malarze sprawnie zacierali czerwone ślady po ostatnim użyciu urządzenia.

— Śmierć za przejście na nieprawidłową stronę chodnika — zaśmiał się Psychit. — Dość tej zabawy ryknął nisko i zerwał kajdany, jakby były z plasteliny.

Zaraz rzucili się na niego policjanci, ale on podciął im nogi ogonem, w locie łapiąc ich włócznie w rękę i wbił z całej siły w podłogę, jakby chciał pokazać, że mógł równie dobrze w nich.

Popatrzył słodko na przewodniczącego, który ukrywając strach, krzyknął coś niezrozumiałego do podwładnych. Zaraz otworzyli główne drzwi i zaprosili byłych więźniów do wyjścia, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało.

— Nie mam pojęcia, co się właśnie wydarzyło, a ty? — zagadnął Zimi wracając w stronę rakiety. — Oczywiście dziękuję za ratunek. Jak zwykle.

— Myślę, że ten świat nie jest jedynie czarno-biały. Jest także czarny i biały nawet u podstaw — Psychit głośno rozmyślał. — Nie ma tu miejsca na szarości, nawet w zachowaniu obywateli. Śmierć, albo wolność, środek chodnika, albo stanie w miejscu. Wypicie całego wiadra wody na raz, albo wzięcie całego ze sobą. Wszyscy robią rzeczy, albo doskonale, albo wcale. Za zejście z linii od razu śmierć.

— Taki perfekcjonizm może powodować dużo dobrego, ale jakoś nie widać po ludziach, żeby byli szczęśliwi. Myślę, że jednak ich system działa gorzej niż lepiej.

— Już nie raz widywaliśmy zniewolone światy. Ale ci mogą zawsze przeskoczyć na inny kolor, zrobić dokładnie odwrotnie, niż robili wcześniej, więc technicznie rzecz biorąc, mają więcej wolności od nas. — Potwór zmrużył ślepie.

— Nasze prawo nakazywałoby naprawić ten system. ALOPP zostało przecież przez was powołane tylko po to, żebyśmy my, ludzie, pomogli wam, potworom nieść dobro, a tutaj nie za dużo go widzę. Ale tym razem może postaraj się nie rozwalić wszystkiego w drobny mak.

— To jedna wielka kolorowanka. Możemy użyć tylu kolorów, ilu chcemy. — Psychit przystanął. — A zaczniemy od przywrócenia twojej rakiety z powrotem do pomarańczowego.

Nieuważnie zostawili statek nieupilnowany, doskonały kąsek dla malarzy.

Ci z największą dokładnością pokryli każdą powierzchnię białą farbą, nawet okna.

— Mój stateczek. Moje dziecko! — Zimi pobiegł do swojego nowego nabytku. — Nawet nie zdążyłem się tobą wystarczająco nacieszyć!

Ziemowit biegał w kółko wokół urządzenia.

— Farba się zmyje, lepiej sprawdź czy... — Przerwał mu krzyk.

Wygląda na to, że malarze aż za bardzo przyłożyli się do swojej pracy. Zajrzeli w każdą dziurkę, w każdy zakamarek. Twardymi pędzlami potłukli wszystkie delikatne, zasilające pręty operowe. Znaczy prawie wszystkie, bo jeden zbił wcześniej Zimi.

Ziemowit pokazał garść niebiesko-białych kryształków.

— Masz zapasowe, prawda? Masz całe dwa zestawy. — Psychit się nie przejął. — W najgorszym razie to wyniosę cię poza atmosferę na rękach, a tam otworzymy przejście do dolnej warstwy.

Dał się słyszeć drugi krzyk. Czarna farba wylała się ze środka, gdy tylko Zimi otworzył właz.

— Ty ostatni wychodziłeś, nie zamknąłeś włazu, prawda? — wysyczał przez zęby. — Chyba czeka cię nieco dłuższy lot do domu na własnych skrzydłach. I będziesz trzymał mnie, statek i pięć ton powietrza w bańkach energii, bo farba zalała grubą warstwą wszystkie ściany i nie mam ochoty siedzieć w środku w czasie podróży. A przedtem jeszcze sam zanurkujesz do środka i wyłowisz dolny klucz.

— Dobrze, popsułem. — Potwór podwinął ogon. — Ale nie mam wystarczającej siły na lot do domu jeszcze rozciągając tak wielkie tarcze. To męczysz, wiesz? A gdybym ja kazał ci teraz biec podwójny maraton ze mną na plecach? Zrobiłbyś to bez problemu? My też się męczymy — bronił się. — W dodatku ten system gwiazdny jest na skraju kwadry, podróż dolną warstwą nawet prosto przez środek wszechświata zajęłaby mi kilka kilopulsów. Lepiej wezwij pomoc, Floria z Mojmirą miały zwiedzać sąsiednią galaktykę, na pewno szybciej tu przylecą swoją latającą szklarnią.

Ziemowit wyjął z kieszeni swój okrągły komunikator, aby wezwać pomoc, ale okazał się on być odłączony od korpusu. Te urządzenia używają małych portali wewnątrz, jak baterii, dzięki czemu mają nieograniczoną moc obliczeniową. Czasami zdarza się, że połączenie się zerwie i zostajemy jedynie z podstawką pod szklaną.

— Skoro i tak spędzimy tu trochę czasu, to równie dobrze moglibyśmy trochę z nimi poeksperymentować — westchnął Psychit, patrząc w stronę fontanny. — Zaczniemy od czegoś prostego.

Złapali więc jednego z obywateli i zmusili do patrzenia na żarowiąstą bluzę Ziemowita. Psychit wypalił laserem ze swojej dłoni dziurę w ziemi i pokazy-

wał mu barwne przekroje skał, oraz jak świeci rozgrzana farba. Obsypywali go niebieskim proszkiem z prętów.

Kosmita nic sobie z tego nie robił. Na każdy kolor zawsze zamykał oczy i siedział w milczeniu. Czy dlatego, że nie chciał, czy dlatego, że się bał, bo za doświadczanie koloru groziło podziurawienie na wylot?

Próbowali podobnie robić z kilkoma innymi istotami. Od buczenia dyrygenta wędły im uszy, najwięcej zainteresowania wykazał jednak malarz, który opryskał wszystko pokazywane farbą.

— Pora na krok ostateczny. Dość mam już tego cackania się — powiedział czarny potwór z białe kropki.

— Nie róbmymy im krzywdy, nie wolno nam! — odpowiedział pomarańczowy człowiek w czarne kropki. — Co zamierzasz wyprodukować swoją mocą?

— Jeśli nie chcą patrzeć na kolory, to zrobimy tak, żeby widzieli je nawet przy zamkniętych oczach — powiedział, wkładając pazury do fontanny. — Zjedz tę grudkę, to antidotum na to, co się zaraz stanie.

Każdy z potworów ma jakąś podstawową moc. Psychit na przykład potrafi wytworzyć swoim ciałem dowolne lekarstwo, narkotyk, truciznę, czy halucynogen. Na niego samego jednak, jego substancje nigdy nie działają. Nośnikiem tych związków jest czarny smar nazywany potocznie ektoplazmą.

Psychit najeżył się i wypuścił z kolców na rękach czarną substancję, która natychmiast zmieszała się z wodą. Dumny ze swojego dzieła był zaskoczony, że nawet sikawka zaczęła pompować jego ektoplazmę, rozpylając czarne chmury, brudząc nieskazitelnie białe chodniki.

Z wrednym uśmiechem obserwował istoty nabierające czarną wodę do kubłów i pijące ją z trzęsącymi się rękoma i przerażeniem w oczach. Nie odważyliby się zaprotestować, nawet gdyby kazano im pić płynne żelazo.

Potwór i człowiek wygodnie usiedli na końcach strzałek statku i obserwowali rozwój wydarzeń. Pierwsi zareagowali malarze. Pędzlami malowali i tak doskonale białe substancje. Rozlewali gwałtownie farby na siebie nawzajem i wymachiwali pędzlami w powietrzu, chcąc widocznie je także pomalować.

Wkrótce wszyscy obywatele wewnętrznie spanikowali. Chodzili drżącymi krokami, zakrywali oczy, ale nikt nie odważył się zejść z wytyczonych linii. Nikt nie zwolnił, nikt nie wyszedł poza binarność. Pomimo że w ich głowach i przed oczyma tańczyły wszystkie kolory wszechświata wytworzone jednym z najsilniejszych halucynogenów, jakie Psychit potrafi wyprodukować, nikt nie dał tego po sobie poznać.

Wyglądało to śmiesznie, dopóki jedna osoba nie wykluliła sobie oczu i szczęśliwa dalej po omacku nie szła w kolejce środkiem chodnika. Kilkoro pozostałych poszło w jej ślady, zanim Psychit nie podbiegł i nie zalepił wszyst-

kim wkoło oczu swoją ektoplazmą oślepiając ich jedynie tymczasowo, żeby nie robili sobie krzywdy.

Środek rozpylony w chmurze podziałął na wszystkich, ale nie chcieli oni reagować na jego efekty. Jedni próbowali pomalować niebo, więc wygląda na to, że wierzyli w widziane kolory. A z kolei ci, którzy wyłupili sobie oczy prawdopodobnie byli świadomi, że wszystko powstaje tylko w ich głowach. Nie mogli wewnętrznie znieść nawet tego.

Ziemowit w milczeniu zastanawiał się, czy nie posunęli się za daleko. Być może wyrządzili nieświadomym istotom, niepotrzebną krzywdę. Chociaż, z drugiej strony, wytwór Psychita niedługo przestanie działać i wszystko wróci do normy. Chodniki zostaną pokryte kolejną warstwą bieli, a fontanna na nowo odmalowana. Statek się weźmie na hol i nie pozostanie tu po nich żaden ślad. Nawet wspomnienia obywateli zostaną szybko wyplewione przez wiecznie wiszący topór śmierci za każde odstępstwo od normy.

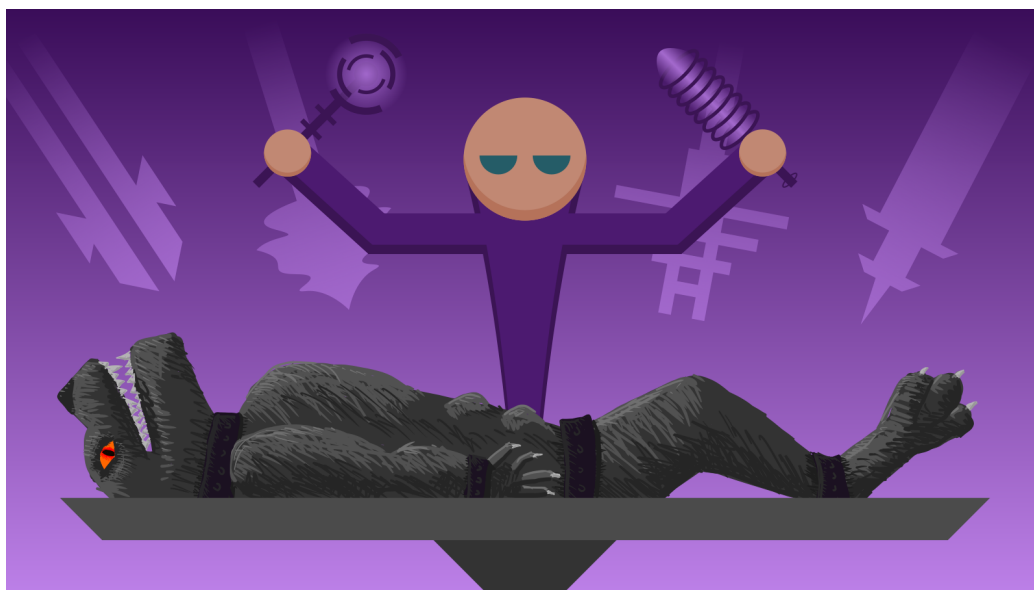
A Psychit? On smakował farbę. Ze wszystkich dziwności wszechświata, ta planeta nawet go nie ruszyła. Ziemowit wziął trochę czerni na palec i pomyślał, że sporo musi się jeszcze o życiu nauczyć.

Fuj, obrzydlistwo.

Rozdział 2

Na pewno nie jest pan wilkołakiem

Tematem jest „Mój pierwszy raz”. Opowieść pewnego człowieka, dla którego właśnie mija pierwszy miesiąc, od ugryzienia przez wilkołaka. A może nie przez wilkołaka?



Podobno nie każde ugryzienie wilkołaka naznacza człowieka. Ja jednak wolę dzisiejszej nocy nie ryzykować. Właśnie teraz mija miesiąc od tamtego pamiętnego dnia, rana się już prawie zagoiła, ale blizna zawsze będzie mi przypominać o mojej skazie. Pierwsza pełnia księżyca, tej nocy wszystko się wyjaśni.

Z samego rana spakowałem namiot, trochę jedzenia i wyruszyłem w las,

aby uciec jak najdalej od wioski. Nie mogę narażać jej mieszkańców i rodziny, gdyby okazało się, że jednak jestem... tym czymś.

Rozbiłem namiot pośrodku jeziora, na małej wysepce, do której przypląnąłem kłodą drewna. Mogę mieć tylko nadzieję, że wilkołaka nie utrzyma. Dla bezpieczeństwa, przywiązałem ją łańcuchem, a klucz od kłódki opaliłem w ogniu, aby pozbawić go ludzkiego zapachu i zakopałem pod drzewem.

Zasnąłem, gdy był jeszcze dzień, miałem cichą nadzieję, że rano obudzę się w tej samej pozycji.

I tak się stało, nadal byłem w namiocie. Jednak już po kilku sekundach wiedziałem, że coś było nie tak. Kłoda drewna nadal była przywiązana do brzegu, ale z drugiej strony wyspy. Pod drzewem widniała wykopana pazurami dziura, ale klucz nadal leżał w środku. I moje paznokcie, były jakby dłuższe?

Czy możliwe było, żebym w nocy odwiązał kłodę, popłynął nią na brzeg, a potem wrócił i przywiązał z powrotem? Znacznie ciekawsze było jednak, co robiłem w lesie, polowałem, wyłem? W końcu dzień drogi, to nie tak daleko od wioski... przeszły mnie dreszcze ze strachu. Trzeba wracać. Szybko.

Już z daleka wiedziałem, że wczoraj w nocy jednak tu byłem. Echo gwarnej wioski niesie się przez las, ale tym razem było zupełnie cicho. Nawet ptaki zamilkły, a wiatr ustał.

Tłące się pozostałości słomianych dachów, dopełniały plamy krwi na drodze. Odwracałem wzrok od zmasakrowanych ciał, nie dlatego, że mnie obrzydzały, ale dlatego, że bałem się zobaczyć w nich członków mojej rodziny.

Każda chałupa miała wyważone drzwi, z każdej futryny wiała śmierć. Tak oto cała wioska, w jedną noc, zniknęła z map. Czy za miesiąc jeszcze jedna podzieli jej los?

Jednakże była jedna osoba, która mogła mi pomóc. Przybysz. Nigdy nie opuszczał domu i z pewnością teraz też tego nie zrobił. Pewnego razu przyszedł do naszej wioski, za pomocą dziwnych sztuczek leczył rany, odpędzał wrogów i budował mechanizmy. Zdobył nasze zaufanie i pozwoliliśmy mu osiąść nieopodal.

Wie, że zostałem ugryziony i z pewnością, jak tylko mnie zobaczy, strzeli do mnie jednym ze swoich dziwactw i zada bolesną śmierć. Ale moja śmierć nie pójdzie na marne. Jestem pewien, że zaraz potem pokroi moje truchło na kawałki i stworzy jakąś miksturę, leczącą likantropizm. Może to i lepiej, tacy jak ja powinni być usuwani ze społeczeństwa. Moja wina, trzeba było oddalić się od wioski na większą odległość. Ale jeśli istnieje cień szansy, że ostatnim tchem stworzę jakieś dobro, to trzeba iść.

Kwadratowy domek zwyczajowo świecił tajemniczą, fioletową łuną. Na dachu były takie specjalne deski, które kradną światło słońca, a potem część oddają w nurcie elektroko-jakimśtam. Nowa, kanciasta gałąź dziwnego drzewa antony, wbita była w rogu, już czwarta z kolei. Płot iskrzył się jak pocierany koc, ale wiedziałem, że przy dotyku może zabić silnym nurtem. Magiczne, ogrodowe krasnale zaczną do mnie strzelać promieniami słońca, gdy wejde nieproszony, zamiast użyć przycisku przy furtce.

Niepewnie dotknąłem kółka na małym pudełku. W domu rozległo się bicie dzwonek, chociaż byłem w domu Przybysza już wcześniej i wiem że na pewno nie miał żadnych dzwonek przy wejściu. Zamknąłem oczy i czekałem, aż gorący promień dokona mojego żywota.

— Witam naszego wspaniałego bohatera, ale im pan pokazałeś, no, no. — Przybysz chyba oczekiwał mojej wizyty. — Mam to wszystko nagrane, chodź, pokażę jak ratuje pan wioskę. — Odczytał zakłopotanie z mojej twarzy. — Nic pan nie pamięta? Ciekawe. Akurat wczoraj, tej samej nocy, Imperium zaatakowało. Przyjechali z wozami, żeby porwać wszystkich na niewolników kopalni. — Odsunął się, zapraszając do środka, chyba jednak nie chciał mnie zabić. — Wtedy ty się zjawiłeś, w samą porę. Wszystkie te trupy na podwórzu należą do imperialistów, naszych nie tknęłaś.

— Ale truchło naszej sąsiadki, tam leży! — odpowiedziałem z niedowierzaniem.

— To dlatego, że kilku mieszkańców okazało się agentami, to oni nas zdradzili dla Imperium. Nie martw się, każdego z nich także zmieniłeś w krwistą papkę, a domy spaliłeś, biegnąc z pochodnią w zębach.

Czyste, perfekcyjnie wykonane wnętrze domu przypominało gładkością mleczny lód. Magiczne przedmioty, których znaczenia mogłem się jedynie domyślać, wały się wszędzie. Na stoliku siedziała wielka, tresowana mucha z gatunku drą. Pokazywał mi kiedyś, jak głośno lata i jak potrafi przekazać potem, co widziała.

Przybysz wskazał na niezwykle okno w ścianie, nazywał je kranem E. Pokazywało nieistniejące widoki, ale nie można było go otworzyć. Tym razem zobaczyłem na nim nocną scenę, z góry oświetloną blaskiem księżyca. Ludzie z pochodniami biegali i wchodzili do domów, wyciągając siłą mieszkańców.

Wtedy pojawił się on. Znaczy ja. Nienaturalna pozycja, lśniące futro, wielkie pazury i dzikie spojrzenie. Zamknąłem oczy, nie chciałem tego oglądać.

Gdy krzyki ucichły, wilkołak sprawdzał dokładnie każdy z domów i czasami podpalał. Mój dom także musiał zostać zniszczony. Moja własna rodzina trzymała z Imperium? Znaczy, że... musiałem ją zabić. Rozszarpałem moje własne dzieci! Łzy napływały mi do oczu i nie wiedziałem czy dlatego, że ich straciłem, czy dlatego, że prawdopodobnie oszukiwali mnie tak długi

czas, a całą wioskę sprzedali Imperium. Najgorsze w tym, że podejrzewałem ich o to już od dawna, ale sercem uwierzyć nie mogłem, jak widać niesłusznie.

— Z tego co wiem, wilkołaki nie zachowują się w tak logiczny sposób. Jeśli pan pozwoli, zamierzam przeprowadzić kilka badań i pomóc Panu nad tym zapanować. — Było mi już wszystko jedno. — Możemy to wykorzystać do naszych celów, proszę sobie wyobrazić, cała armia wspaniałych bestii, może nawet obalimy Imperium! Nie będzie więcej wojny, palenia domów i najazdów, nie tylko dla naszej wioski, ale każdej! — Przybysz zachwycił się, patrząc w sufit, gdybym ja do wszystkiego miał taki optymizm, jak on. — Tu jest stół z klamrami na ręce i nogi. Przywiążę pana i zobaczymy, zapewniam, nic się panu nie stanie. Pełnia trwa dwie noce, do zachodu słońca zostało mało czasu.

Obojętnie. Nic mi się nie stanie, to dobrze, stanie mi się, to i nawet lepiej. A jak będę przywiązany, to przynajmniej nikogo więcej nie zamorduję.

Położyłem się na stole, Przybysz zapiął klamry i przyczepił mi jakieś sznurki do ciała. Na wszelki wypadek, zostawił ognistą kuszę na widoku.

Byłem za bardzo pobudzony, aby zasnąć. Wkrótce jednak zacząłem tracić przytomność. Zaczyna się.

Obudziłem się nadal na stole, ubrania porwane na strzępy, sznurki porzywane, klamry przegryzione. Przybysz siedział w rogu i trzymał się za czerwony bandaż.

— Mamy mały problem. — Sięgnął do deski przycisków. — Gdybyś po prostu się zerwał i mnie ugryzł, to by było jeszcze w porządku. Ale po transformacji, zacząłeś ze mną rozmawiać i przekonywać do swoich racji.

Ze sztucznych ust przy kranie E dało się słyszeć głos Przybysza, oraz drugi, zupełnie niehumaniczny. Niski i ryczący, słyszeć było w nim echo kosmosu, dźwięk wielu zamieszkałych planet i ich słońc. Czerwony karzeł, żółty karzeł i wielka czarna dziura. Dwa księżyce, pierścienie i sztuczny twór. Miasta bogate i zdobione, pokój i szczęście mieszkańców, śmiech i radość. Ale ziemski język, którym wilkołak rozmawiał był sztuczny, ograniczony, na pewno nie polski. Skąd ja to wszystko w ogóle wiem?

— Od razu rozpocząłeś rozmowę ze mną po wspólnym, zwanym również nowomową. — Przybysz nieufnie spoglądał to na mnie, to na kran E. — Ten język powstanie dopiero za trzy tysiące lat w Ameryce, jako uniwersalny sposób porozumiewania się ludzi z różnych krajów. Nie ma jeszcze nikogo w tej chwili na świecie, kto potrafiłby się nim posługiwać. Z wyjątkiem mnie. I chyba też ciebie?

Pokręciłem głową, ja także go nie rozumiałem.

— Interesujące. — Zamyślony wstał i podał mi nowe ubrania. — Proszę wyobrazić sobie bardzo inteligentne zwierzęta. Przychodzą z bardzo daleka i

chcą się od nas nauczyć części naszej kultury. Po ugryzieniu, w ciągu kilku lat, stajesz się jednym z nich. — Wskazał palcem na moje włoski na rękach, były teraz dłuższe i ciemniejsze. — Tak podbijają świat, za światem, usuwają to, co złe, zostawiają tylko to, co w ich przekonaniu dobre i przyjmują u siebie. — Wyciągnął książkę z szuflady. — To nie zadziała. Sztuczne mieszanie kultur nie zadziała. Nie można mieszać. — Uniósł się, jakby chciał mnie przekonać do czegoś, ale ja nie rozumiałem. — Uciekłem przed wymuszonym mieszaniem, uciekłem przed Nowomową, przed sztucznie poprawnym zachowaniem. To wymaga czasu, kulturę trzeba wytworzyć, a nie zdobyć. Oni upadną, tak jak my upadliśmy... upadniemy. Na własne żądanie.

W książce były ryciny spalonych domów, brudnych ulic i wojujących ludzi, ale nadal nic z tego nie rozumiałem. Przybysz patrzył się przez okno. Pierwsi ludzie wracali do wioski.

— Ale może gdyby wpierw oczyścić tę kulturę z brudu, to by zadziałało? — Patrzył na mnie, szukając potwierdzenia racji. — Jedno jest pewne. — Zgasił kran E. — Na pewno nie jest pan wilkołakiem.

— Nie jesteśmy my — poprawiłem.

Rozdział 3

Książd

Cyberpunkowe opowiadanie z nutą Boskości. Jak będą wyglądały opętania przyszłości? Przekonajmy się.

— Dzień dobry panu, przyszedliśmy zabrać pana na operację — powiedziało równocześnie dwóch agentów Poczty, stojąc w drzwiach mojego domu.

— Jaką znowu operację? — Dobrze wiedziałem, jaką operację. W końcu to się musiało stać. Jednak nadal nie wiedziałem, dlaczego akurat dzisiaj.

— Nie wie pan? — Agenci spojrzeli po sobie. Mniejszy zajął głos. — No tak, jak mógłby pan to wiedzieć, nie ma pan przecież jeszcze mrówki. Nie ogląda pan telewizji. Tak, tak. W związku z ostatnimi, niewytłumaczalnymi atakami spazmów u obywateli w całym mieście, Poczta stwierdziła, że dla bezpieczeństwa, wszyscy nieochipowani przy urodzeniu powinni obowiązkowo mieć zainstalowaną mrówkę.

— Ale przecież tylko osoby z właśnie takimi mrówkami doznają ataków, bezpieczniejsi będziemy bez nich. — Próbowałem się bronić, ale wiedziałem, że to i tak nie ma sensu i że to nie o bezpieczeństwo chodzi. — Poza tym operacja wszczepienia u dorosłych ma wysokie ryzyko niepowodzenia, nie stosuje jej się.

— Tak, tak. Niefortunne narodzenie w samolocie, awaryjne lądowanie na pustkowiu, nie można było wszczepić mrówki od razu, przykro nam. Ale teraz może być pan spokojny, wynaleziono nową, bezpieczną metodę. Dzięki niej każdy może cieszyć się swoją mrówką w dowolnym wieku. Czy to dorośli, czy dzieci, teraz operacja jest bezbolesna, całkowicie bezpieczna i trwa tylko godzinę. W pełni refundowana przez Poczte. Zamów już dziś — agent wyrecytował reklamę, która prawdopodobnie leci w telewizji co pięć minut. — Zapraszamy z nami, chip jest dla bezpieczeństwa wszystkich. Przyczyny ataków nadal są nieznane i jest szansa, że nosicielami mogą być niezachipowani. Poczta musi wyeliminować taką możliwość. Chyba nie chce być pan

oskarżony o celowe wywoływanie zamachów? — Odsunął się pokazując miejsce w prywatnej kapsule na szynach, która zawiezie mnie prosto do głównego szpitala. Zastanawiałem się, czy jeszcze wrócę do swojego domu.

Kapsuła od razu wjechała na wewnętrzny tor szpitala i skierowała się do bloku operacyjnego. Wielki, płaski gmach złożony z setek małych pudełek spełniał zapotrzebowania na operacje całego miasta. Dojście do każdego z nich było możliwe jedynie wielkimi podajnikami, które przenosiły cały personel, chorych i towary jeżdżąc od kratki do kratki. Nadto skomplikowany cud inżynierii pocztowej, jednakże wymagany, aby zmieścić cały szpital w centrum miasta na tak małej powierzchni.

Wjechaliśmy na podajnik, który przeniósł nas razem z kawałkiem toru prosto pod tylne wejście sali operacyjnej 433. Pielęgniarki właśnie kończyły przygotowywać autochirurga do pracy, wielki pajak z tysiącem odnóży, przywiązany do sufitu zaraz będzie dobierał mi się do mózgu. I to dosłownie. Jaka ma być ta nowa metoda? Wyglądała dokładnie tak samo, jak standardowa operacja. No cóż, może zmieszczę się w tych 83% udanych zabiegów.

Kątem oka spojrzałem na pozostałe wejścia, kapsuły na podajnikach przychodziły i odchodziły od każdej z nich. Z prawej ktoś nadal próbował się siłować, szybko dostał środek uspokajający. W lewej sali widać było, że czekali na kapsułę już bardzo długo, pielęgniarki zasnęły z przemęczenia oparte o ścianę nad przepaścią. Gdzieś dalej dał się słyszeć krzyk i strzał agencckiego elektronowca. Agenci delikatnie, acz stanowczo powiedli mnie za bark w kierunku łóżka operacyjnego.

To było dzisiaj rano. W tej chwili wracam niebusem ze szpitala na stację górnego dworca, gdzie poczekam dziesięć minut na pociąg magnetyczny do domu. Jadę sto-trzydzieści-jeden metrów nad ziemią w wagoniku zawieszonym na szynie, z prędkością pięćdziesięciu-pięciu kilometrów na godzinę. Pode mną są slumsy, miejsce od którego powinienem się trzymać z daleka. To składowisko podejrzanych osób, niebezpiecznej technologii, mafii i wszystkich odpadów z miasta. Wyznają nawet swoją zakazaną [REDACTED]. Dziwne, nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. Niebus dojedzie do stacji za dwadzieścia-trzy minuty.

Wiedziałem wszystko, nie musiałem nawet spoglądać na ekran z rozkładem, aby znać kolejność stacji. Dworzec górny, fabryki jedzenia, jezioro pocztowców, centrum handlowe klasy średniej, rezerwat. Byłem wszystkim, mogłem wszystko. Dzięki ci, Pocztu za tę mrówkę. Ty, która zaczęłaś od dowożenia listów, tak się rozrosłaś przejmując firmę za firmą, że sprawnie zarządzasz teraz całym miastem. Jediną myślą, która nie pozwala mi być w pełni szczęśliwym, to myśl o atakach. Przecież prawdopodobieństwo dostania spazmów jest tak małe. Jest większa szansa na wygranę w loterię —

kupon kupię na stacji za dychę — niż to, że jakiś atak nastąpi teraz w tym szynobusie. I nie stwierdzono, jakoby były zaraźliwe.

— Proszę się nie bać, w telewizji mówili, że liczba ataków maleje. Pewnie ten program komputerowy zaczął już atakować sam siebie. — Kobieta z obcisłej spódniczki z animowanymi kwiatami uśmiechnęła się, odsłaniając nienaturalnie białe zęby. — Naukowcy Poczty ciężko pracują na szczepionkę, jestem pewna, że wkrótce każdy dostanie aktualizację systemu.

— A jeśli to nie wirus, tylko taki... no... niekomputerowy wirus? Taki prawdziwy wirus, jak kiedyś były, albo bakteria jakaś? — zapytałem. Czyta mi w myślach, czy to pocztowy automat właśnie podsunął jej ten pomysł, gdy zobaczył, co zaprzęta moją głowę?

— Przy obecnej służbie zdrowia? Proszę pana, nie żyjemy przecież w XXI wieku! Musiałoby uciec chyba z muzeum. — Biodra jej zafalowały, to po tych lekcjach tańca na które chodzi z chłopakiem. — Chociaż w tym śmietniku pod nami, to nigdy nie wiadomo, co się czai.

— Wystarczy tam nie chodzić i wszyscy będą bezpieczni — wyrwało mi się niespodziewanie. — Pewnie wszystkie poszkodowane osoby same sobie były winne.

To były moje myśli? Jeszcze rano bałem się wyjść z domu bojąc się tej tajemniczej choroby, ale teraz coś mi mówi, że byłem w dużym błędzie. Tysiące informacji potwierdzających, że to nic groźnego, przelatuje przez moją głowę. Kierują mną, abym stwierdził, że sam doszedłem do takich wniosków. Albo też nic mną nie kieruje, wszystko jest tak, jak dawniej. To ja mam całkowitą kontrolę nad sobą.

Kupię sobie ładną nakładkę na czoło, w tej chwili goła mrówka jest brzydkim, wystającym trójkątem. Widzę, jakie inni noszą ciekawe rozwiązania, nie muszę szukać ich w sklepach po całym mieście, od razu wiem, gdzie sprzedają który model. O, ten ma taki fajny irokez, który świeci kolorowo w zależności od myśli. Patrzy w okno, różowy oznacza miłość. Wraca właśnie z udanej randki w kinie, grają tydzień starych filmów w 2D.

██████████. Ostatnimi siłami spróbowałem przywołać na myśl ██████████. Zarówno to, jak i ██████████, oraz ██████████ były zakazane. Same te słowa, jakby były wymazywane z głowy jeszcze przed interpretacją przez mózg. Ale przecież to nie problem, nie powinienem w ogóle zaprzętać tym sobie głowy. Tylko mieszkańcy slumsów robią ██████████, jestem porządnym obywatelem, trzymam się od tego z daleka.

Słabość, czuję się słabo. Tak, to pierwszy objaw ataku, ale nie ma się czego bać. Każdemu może się zrobić słabo, tak duszno jest w tym wagoniku, 50% stężenia CO_2 . Ale zaraz, przy takiej ilości już bym nie żył. Co się zepsuło? Nogi odmawiają posłuszeństwa, dźwięk zanika, tracę kontakt z otoczeniem. Tracę władzę nad ciałem! Irokez zmienił kolor na czerwony.

Karetka nie podleci do wagonika, jest zajęta innym atakiem! Nic mi nie będzie.

Wtem wychodzi z tłumu wysoki człowiek w płaszczu. Nogi skrywa su-tanna, pod szyją ma biały kołnierzyk, to musi być [REDACTED]. Patrzy na moją mrówkę, przeszywa ją na wylot, wzrok utkwiony w gnieździe do podłą-czania. Słyszę teraz jego słowa, to stary język, łacina. Treść jest nieistotna, mrówka podpowiada, że nie muszę jej znać. Surowe spojrzenie, ręką wyko-nuje znak [REDACTED], w lewej dłoni trzyma wisiołek z [REDACTED]. W prawej butelkę z wodą [REDACTED], otwiera ją, wylewa na nas. Piecze, piecze! To kwas. Palimy się. Ciszej, ciszej! Tylko nie Ojcie Nasz, nie wypowiadaj Jego Imienia, nie przyzywaj Jej, nieee! Uciekać, trzeba uciekać. Zabije nas. Z tego śmiertelnika już nic nie będzie, odwołać atak. Gdzie uciekać? W dół, do slumsów. Tam, dwójka ma sprawne mrówki, rozdzielić legion! Ha, że-gnaj, ojczulku, nie uratujesz go już. Chwila, czy to pendrive z Mrówixem? Cholera, ale to nic. Ten system też wkrótce padnie.

— Wolne oprogramowanie, tworzone przez wszystkich, dla wszystkich. Napisane z miłości, waszej największej słabości.

Ciemność. A potem szturchanie przez nieznanomego. Wysoka osoba w płaszczu była pochylona nade mną, uśmiechała się, jakby właśnie uratowała człowieka przed śmiercią. Pomogła mi wstać i utrzymać się na nogach, cho-roba ustąpiła natychmiast. Miałem mokrą twarz, ale nie od potu. Po co mnie oblała wodą?

— Czy dobrze się czujesz? — Jego głos pełen był nadziei. — Udało się, Bogu dzięki. Przy okazji, jestem Ojciec Tomasz, franciszkanin.

— Przepraszam, chyba trochę zasłabłem. — Ludzie wokół stali, jak za-mrożeni. Nikt się nie poruszał, nie mrugał. — Czy...

— Dobrze, potem wyjaśnimy, goni nas czas. A dokładniej Poczta. — Ksiądz pociągnął rękojeść awaryjnego otwierania drzwi. — Tak na szybko. Zostałeś zaatakowany przez demona, udało mi się go przepędzić i zainsta-lować Mrówixa, wspinamy się na górę i uciekamy po szynie. Masz pełną kontrolę nad chipem, Poczta nie będzie wiedzieć, gdzie jesteś. Ci ludzie zo-stali zdalnie spauzowani, żeby nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Oczywiście Poczta nadal wszystko przez nich widzi, możesz jej pomachać. Za kilka minut włączą ręczne sterowanie i ci wszyscy ludzie nas rozszarpia, dlatego spiesz się. Tu jest rączka, podnieś się, zaprzyj nogą tam.

— Przecież szyna jest pod napięciem! — Tak stwierdziłem wedle mojej wiedzy. — Sto-ileśtam metrów w dół!

— Tylko niektóre części są niebezpieczne, masz w głowie wykradzione plany budowy niebusa, poszukaj dokładnie, póki co, rób to, co ja i nie dotykaj niczego więcej.

Wyszliśmy ostrożnie na dach i zaczęliśmy biec po szynie do najbliższej

podpory. Niebus. Szynobus. Mam. Dokładne plany linii, przekroje, schematy budowy i działania. Pod napięciem są tylko zewnętrzne brzegi. Już nie byłem wszystkim. Byłem książką, dokładniej biblioteką. I to dość zakurzona. Brak bezpośredniego połączenia z internetem. Już nic mi informacji nie podsuwało, musiałem je sobie sam znaleźć.

Przeszło numer 23, będą schody na dół. Zamek szyfrowy przy wejściu to PoczLok-2122, zamknięty, ale zabezpieczenia dziurawe, jak ser. Znalazłem kilka exploitów i program do hackowania. Jest też instrukcja obsługi, ale to plik tekstowy, trzeba przeczytać samodzielnie.

Akurat dopadliśmy schodów, gdy pocztowy grawitowiec wysunął się zza budynku. Zbiegliśmy, prawie zeskoczyliśmy ze schodów. Zamek poszedł w kilka sekund, byliśmy w centrum slumsów. Miałem mapę, na niej zaznaczone kryjówki, dopadliśmy pierwszej z nich i zniknęliśmy w sieci starej kanalizacji. Notatka mówiła, że Poczta nie zna jej przebiegu. Jeszcze.

Mieszkanie Ojca było bardzo biedne, ale czyste i zadbane. Usiedliśmy pod oknem patrząc na ostatnie pocztowe grawitowce, opuszczające zawieszony w górze wagonik. Gdy ruszył, wszystko wróciło do normy, ludzie zostali odpauzowani, nikt nic nie pamiętał, nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Z wyjątkiem mnie.

— ...i taka właśnie jest historia — Ojciec Tomasz skończył opowiadać o atakach. — Tym razem to ani nie wirus, ani nie choroba, ani żadna broń biologiczna, ale demony nie z tego świata. Przez setki lat ludzie mieli w mózgu naturalną obronę przed tymi pomiotami, ale wraz z nadejściem mrówek to się zmieniło. Kiedyś trzeba było interesować się voodoo, odprawiać czarne msze i wróżyć z kart, aby zaprosić szatana do siebie. Dzisiaj sam wchodzi, atakując chip i przez niego mózg. Nowoczesne czasy, nowoczesne opętanie.

— I może jeszcze szatan wgrywa tam swoje oprogramowanie? — zażartowałem. Trudno mi było uwierzyć w to wszystko.

— Nazywa się BorutOS, mamy jego obraz i inżynierią wsteczną opracowaliśmy exploity, aby przełamać go i zastąpić otwartym projektem Mrówixa. — Ksiądz skrzywił się, widząc uśmiech na mojej twarzy. — Nie wierzysz? To dzięki temu właśnie cię uratowałem, wykorzystałem lukę w systemie, który demony wysłały do twojej mrówki i zastąpiłem naszym. Póki co nie mogą znieść faktu, że ten system jest tworzony przez różne, niepowiązane osoby, non-profit, z miłości. Póki co, jesteśmy bezpieczni.

— No dobrze. W każdym bądź razie żyję, jestem uodporniony na ataki, ale co dalej? — Doszło do mnie, że nie mogę teraz tak po prostu wrócić do domu.

Ojciec otworzył okno, smród stęchlizny, spalonych silników elektrycznych i smarów wdarł się do pomieszczenia.

— Czekamy na koniec świata — powiedział, wskazując ręką na miasto. Grupa pocztowych grawitowców ponownie gdzieś zmierzała. — Albo pomożesz mi ratować ludzi. Każdy się przyda, trzeba zdobywać informacje, ulepszać nasz system, pisać wirusy, podkładać bomby, dbać o słabszych... czasem zabijać pocztowców. Nie żebyś miał jakiś większy wybór, do domu nie pójdziesz, legalnie nie popracujesz, właściwie to oficjalnie umarłeś.

— Zabijać? Szkodzić innym? Przecież Pismo Święte wyraźnie zakazuje.

— Chciałbym być doskonały, ale zobacz na nasz świat. Albo zabijesz pocztowca, albo on zabije dziesięciu z nas. To nie jest tworzenie dobra. To jest tworzenie mniejszego zła. Ja nie... — Tomasz wziął głęboki wdech. — umiem... tworzyć takiego dobra, jakie powinienem. Nie jesteśmy w stanie działać tak, jak nakazuje Biblia. Przykro mi. Nie mogę obiecać ci Nieba, bo mam wrażenie, że sam idę w złym kierunku. Czy zatem zgodzisz się popęlniać ze mną zło przeciwko złu?

— Pomogę. — Nie zastanawiałem się długo. — I tym razem, to mój świadomy wybór.

Rozdział 4

Bitwa na klawiatury

Niepoważny dramat o całkiem poważnym temacie „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. Poz żadnym pozorem nie wystawiać na prawdziwej scenie.

Ta komedia została znaleziona w Głównej Bibliotece w czasie jej digitalizacji z sześciokątnych płytek pamięci do komputera. Nie jest dokładnie wiadome, kto ją napisał, a i nikt się do tego nie przyznaje. Może to i lepiej.

BITWA NA KLAWIATURY

Postaci:

- Doktor Evilion — człowiek.
- Przydupas — dziwna hybryda człowieka z czymśtam, stworzona przez Eviliona.
- Mikołaj — potwór.
- Nadar — człowiek.
- Ferro — potwór.

Wymagania:

- Puste miejsce w pierwszym rzędzie, dla Eviliona.
- Kilka osób o imieniu Mikołaj na widowni.
- Podstawiona osoba z telefonem i bombą pod siedzeniem.

Poniższy scenariusz powinien być zagrany w naszym jedynym teatrze na Księżycu Radości. Dla realizmu, powinno się zamiast aktorów użyć rzeczywistych postaci przedstawionych w skrypcie (z wyjątkiem Ferra, gdyż jest beznadziejnym aktorem i nie zagrałby dobrze nawet samego siebie).

Akcja rozgrywa się na Potworanie, w najbardziej strzeżonej części zbrojowni, przy naszej maszynie do nadpisywania zasad wszechświata (znanej też jako Maszyna Życzeń). Na scenie znajdują się dwie konsole do sterowania maszyną, po bokach, na podwyższeniach, zwrócone przodem do siebie. Na scenę wychodzi wpierw Nadar. Doktor Evilion siedzi w pierwszym rzędzie widowni.

NADAR

A oto najciekawszy punkt naszego zwiedzania.
Wielka maszyna, do życzeń spełniania.
Tutaj widać tylko dwie konsole.
Większość maszyny znajduje się pod ziemią, na dole.
Modyfikuje zasady wszechświata, wedle życzenia.
Czy to wartość π , czy kolor nieba, to bez znaczenia.
Jest tak potężna, że nikt jej nigdy nie dotyka.
Jednak nie zniszczymy jej, na wypadek nietypowego ryzyka.
Nie ma bardziej strzeżonej rzeczy na tej planecie.
A my oprowadzamy wycieczki. Humor autora czujecie?
Myślę, że nasz świat za długo by się nie ostał,
gdyby teraz jakiś wróg do konsoli się dostał.

*Z widowni na scenę wbiega Doktor Evilion i jego pomocnik Przydupas.
Zaraz potem z boku wbiega Mikołaj.*

DOKTOR EVILION

W końcu się udało! Dostałem się!
Maszyna Życzeń, teraz należy do mnie!
A tu konsola, zaraz zacznę nią sterować.
I problemy niespotykane będę generować.

MIKOŁAJ

Już po nas. To koniec wszystkiego.
Evilion zrobi z nami, cokolwiek chce jego ego.

DOKTOR EVILION

Przetestujmy ją, najpierw coś małego.
Coś bez zbytnich problemów, zbędnego.
W klawiaturę te słowa wpisywać bez liku.
Otóż — chcę loda na patyku.

PRZYDUPAS

Nic się nie stało, mój panie,
czy na pewno poprawnie podłączone sterowanie?

MIKOŁAJ

Wszystko poprawnie, wszystko tak ma być.
Inaczej moglibyśmy już wszyscy nie żyć.
Nikt z was nie wie, jak to wszystko działa.
Jak nadać maszynie poprawne sterowania.

PRZYDUPAS

Chyba Maszyna Życzeń to nazwa nieodpowiednia.
To nie tak jest, że ona cokolwiek spełnia.
Jeśli pozwolisz, przejmę sterowanie...

DOKTOR EVILION

...panie. Dla ciebie — „panie przejmę sterowanie”.

Mikołaj swoimi lodowymi mocami stwarza loda w ręce.

MIKOŁAJ

To może ja spróbuję... wielmożny panie.
Rękami pomacham, jakbym robił pranie.
Poczekaj chwilę, aż będą gotowe.
Lodowe lody, w smaku lodowe.
Oto i przysmak, którego tak pragniesz.
Chwileczkę, zaraz jeszcze więcej dostaniesz.
I w klawiaturę wpisać ten rymowany tekst.
Rozkazywanie maszynie, toż to sztuką jest.
Dzieje się tak, że — nad głową Eviliona
w każdej sekundzie pojawia się ilość takich lodów miliardowa.
Hmm. Nic się nie dzieje. Co to się stało?
Żeby tylko się nie zepsuło, bo problemów mamy niemało.

NADAR

Mikołaju!
Właśnie odczytałem coś na moim komunikatorze.
Spowodowaliśmy niemałą katastrofę. O Boże!
Wpisałeś Evilion, ale jaki?
Na Tirandii rządzi przecież jeszcze król taki.
To ta planeta, która ciągle na swą gwiazdę spada,
co im wielki silnik daliśmy, żeby im nie była biada.

Teraz góra lodów zamroziła go w mig,
siła nośna natychmiast zniknęła, o tak — pyk!

MIKOŁAJ

Zobacz, coś narobił Evilionie,
przez ciebie cała planeta teraz spłonie.

DOKTOR EVILION

Ach, to na mnie wina zwalona jest, taka?
Mikołaj właśnie umiera na raka.

Kilka osób z widowni osuwa się na ziemię.

MIKOŁAJ

Ja człowiekiem nie jestem, jak pewnie odkryłeś.
Komórek w ciele do zraczenia nie mam, być może nie zauważyłeś.
Ludzi do zabicia na Potworanie, o tym imieniu też nie znajdziesz,
ale na Ziemi, prawdopodobnie prezentów pod choinką, już nigdy nie odnajdziesz.
Hej, czy tamta osoba też właśnie umarła?
Zobaczcie, jak prosto maszyna mu życie pożarła.

DOKTOR EVILION

Lodowy potworze,
mój ty Boże.
Mógłbym napisać, że po prostu znikasz,
ale lubię zabijać, gdy z innymi problemami się borykasz.
Poza tym ciężko wpisać tekst, żeby rymowała się każda komenda.
Po to, żeby osoba czytająca ten dramat, była jak zaklęta.
Zatem potrafisz produkować lód?
Zaraz będziesz mieć tu gorąca w bród.
I ze strachu i roztopów jeszcze bardziej zbielejesz,
klawiatura jest tak gorąca, że zaraz stopniejesz.

Mikołaj opiera się o rozżarzoną klawiaturę, jak nigdy nic.

MIKOŁAJ

Gorąca nie znoszę, ale co to są tysiące stopni temperatury.
Byłem zapraszany na herbatę, do lawowych smoków z Karkentury.
A więc myślisz pewnie, że jesteś nade mną górą?
Co zrobisz teraz z własną, gorącą klawiaturą?

DOKTOR EVILION

Zapomniałem. O ja głupi znowu.
Zmiana zasad wszechświata, dotyczy nas obu.
Jestem doktorem nauk. W rękawie mam jednak asa.
Przydupasie, już, zastąp mnie. Hopsasa.

PRZYDUPAS

Ależ jak, panie? Klawiatura płonie.
Rozumiem, że mam kompletnie spalić sobie dłonie?
Od zawsze chodzę posłusznie, po pana drodze,
a szacunku nigdy dostaję — zatem odchodzę!

DOKTOR EVILION

Głupi eksperymentcie, aby cię wytworzyć,
lata nauki poszły, abyś mógł trochę pożyć.
Myślisz, że ja Evilion, jam jest idiotą?
Dałem ci odporność na ogień, niecnoto.
Wpisz zaraz, że ważysz całe tony, zaczyna coś trybić?
Wtedy skocz na niego, aby do ziemi natychmiast przybić.

Mikołaj lecący za scenę pod ciężarem Przydupasa.

MIKOŁAJ

Jestem potworem, podnoszę całe tony,
zaraz się wygramolę spod jego ciała zony.
O nie, widać wpisał także, że siłę mi odbiera,
Ferro, zastąp mnie, pokaż, że potwór nie popiera.

Na scenę wchodzi Ferro.

FERRO

Nie jesteś jedynym, który się pastwi nad swą ofiarą,
co powiesz na minutę milczenia? Z ust nie puść parą.
Kto następny w tym teatrze nie będzie cichy, jak ryba,
ten majestatycznie eksploduje. ...teraz enter chyba.

Po kilku sekundach dzwoni telefon podstawionej na widowni osoby. Eksploduje bomba pod jej siedzeniem.

FERRO

Co to było? Przecież ta konsola nie jest do maszyny podłączona!
To ma być tylko teatr! Komedia niedorobiona.
Czyli to wszystko, co wpisujemy, to się na prawdę stanie?
Co za pojęb pisał, całe to wypracowanie!

DOKTOR EVILION

W kieszeni znalazłem ognioodporne rękawice,
wielu tu ludzi na widowni widzę!
Na zabawy z wami, mam teraz branie.
Umrze ten, kto z miejsca tutaj wstanie.

FERRO

Mówi serio, nie wstawajcie, proszę,
zaraz się z nim rozprawię, aż spadną mu kalosze.
Lubisz rodeo? Zaraz polubisz.
Przez niekontrolowane wstrząsy konsoli, zaraz się zgubisz.
Patrz na mnie, ważę trzy tony.
W porównaniu ze mną, jesteś jakiś niedorobiony.
Jak myślisz, czy mnie to w ogóle ruszy?
Lepiej od razu szukaj na swoim ramieniu duszy.
Wpisuję kolejny tekst, możliwościami maszyna się chlubi.
Konsole trzęsą się tak, że Doktor Evilion nie polubi.

DOKTOR EVILION

Nic się nie dzieje, wiedziałem o tym,
zdziwiony? Wyjaśnię ci to wszystko potem.
A póki co, kolej teraz moja.
Mechanicznych komarów rzuci się na Ferra cała sfora.

FERRO

No to jesteśmy po równo, na mnie też to nie działa.
Dlaczego? Nasz język często robi ludziom w uszach „ała”.
Dlatego też, to tylko ludzie,
wymyślili nam te przydomki, żeby rozmawiać na luzie.
Mojego imienia, to nawet w pełni usłyszeć byś nie mógł.
A ty z kolei, nie jesteś doktorem. Oj — czyżbym twoje ego stłukł?

DOKTOR EVILION

Nie ma znaczenia, zaraz to naprawię.
Przede mną leży mój doktorat. Niech tak się stanie.

FERRO

Nie powiedziałaś jaki, a w nieokreślonym przypadku,
maszyna używa specjalnej przysadki.
Kto ją budował? Mikołaj — radośnie!
Spodziewaj się na papierze, jakiejś dziedziny sprośnej.
Bardzo ciekawe, co ci wyszło tam?
Nie pal tego, chcę wiedzieć! Powiedz proszę nam.
Ale wiesz, że doktoratu zniszczenie,
zasad wszechświata wcale nie zmieni?

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Głupia maszyna. Teraz mi ukojenie.
Da tylko jej całkowite zniszczenie.

FERRO

Evilion to nazwisko, zagadka się wyjaśniła,
dlatego też, komenda Mikołaja, nie jego namierzyła.
Zasady wszechświata, raz zapisane,
nie zważają na dalsze maszyny poczynanie.
Jeśli ją zniszczysz, wszystkie zostaną,
zasada zapisana, pozostanie zapisaną.
Siedzieć wtedy tu wszyscy będziemy,
aż całkowicie z głodu pomrzemy.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Już widzę, dlaczego używać tej maszyny, jest tak niebezpiecznie,
sala z konsolą, powinna zamknięta być wiecznie.
Trzeba ten śmietnik, jakoś ogarnąć.
I zwycięstwo nad światem, do siebie przygarnąć.
Zasada z konsoli, z konsolą padnie.
Rozwiązałem ten problem, całkiem ładnie,
teraz tylko wyłączyć twoją.
I kontrola nad światem będzie całkowicie moją.
Druga konsola rozpada się, jakby dostała batem.
To mi da pełną kontrolę nad całym wszechświatem.

FERRO

Myślałeś, że ci się to uda, tak po prostu?
To moja konsola, do pierwszego gniazda, podłączona była kabli wiorstą,
to znaczy, że twoja część teraz pada, wiarę dasz?
Pamiętaj, że z potworami szans na zwycięstwo nie masz.

A na zakończenie wpiszę komendę wspaniałą, niczym angielski poem.
Ojej, moja konsola wzięła i się zrobiła złomem.

Przydupas wychodzi z za sceny z kluczem francuskim.

DOCENT PRZYDUPAS

W czasie waszej niepoważnej potyczki,
ja poszedłem na dół i zamieniłem wtyczki.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Zaraz, ale wstałeś z miejsca, jak to możliwe?
Jak w takim razie żyjesz? Powiedz skwapliwie.

DOCENT PRZYDUPAS

Moje miejsce, nie wiem czy wiecie,
to zawsze pomagać panu, gdziekolwiek we wszechświecie.
Teraz, które zasady padły, a które żyją?
Powieм panu na ucho, ruszyć proszę szyją.

FERRO

Teraz coś wam powiem, że aż wyjdą wam gały,
zapomnieliście, że potwory, mają słuch doskonały.
Nasz docent powiedział, jedną rzecz, od niechcenia.
Przyklejone na stałe nie muszą być już wasze siedzenia.

Prawdopodobnie wybucha teraz panika na sali i wszyscy uciekają.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Co za panika. Wszyscy w pośpiechu wychodzą.
Czy ta sztuka jest aż taką niedorobioną?
W takim razie, będę musiał streścić się zatem,
aby każdy z was doświadczył mojego triumfu nad wszechświatem.
Co by tu wpisać, teraz jestem bogiem,
może coś prostego, potem się zastanowię.
Nic mi nie zagraża, więc czemu mam was zabijać?
Nie mogę się ciągle o ten sam cel obijać.
Co mi po waszej śmierci, dobry władca dba o swój lud,
dlatego będę dawał wam wszystkiego w bród.
Jak zrobić, żeby między nami wszystkimi była zgoda?
Już wiem, na patyku dla każdego łoda!

Rozdział 5

Uniwersalny tort

W czasie wesela do tortu wpada mały, uniwersalny meteoryt. Gdy zakażony uniwersalnością tort zostaje zjedzony, zaczynają się dziać dziwaczne rzeczy. Tematem pracy jest obraz Salvadora Dalíego „Gala desnuda mirando el mar que a 18 metros aparece el presidente Lincoln” (Gala podziwiająca morze, w odległości 18 metrów zmieniająca się w Lincolna).



Wesele rozkręciło się już na dobre. Podpici goście powoli przestali zwracać uwagę na dwie wielkie istoty z kosmosu, przemykające zwinnie między stołami. To był doskonały czas na najważniejsze wydarzenie wieczoru — tort. Gigantyczna góra lukru wjechała na środek sali, w akompaniamencie fajerwerków i gradu brokatowego konfetti. Malowany złotem lukier, pokryty brokatem, mienił się w świetle świec, półprzezroczyste żelki rozpraszają tę-

czowo światło, a w perłowych szlaczkach można się było przejrzeć. Było to wszystko na tyle mocno przesadzone, że jedna z raket wpadła do tortu i wysadziła w powietrze ostatnie, dziesiąte, piętro. Malutcy pan i panna młoda, rozerwani, polecili w cztery strony świata. Nie żeby ktoś to zauważył, ludzie byli zajęci tratowaniem się aby dorwać jak najwięcej przepysznego deseru. Po kilku chwilach została już tylko wylizana patera. To musiał być bardzo dobry tort.

Do czerwonego kosmity mało osób się zbliżało, z wyjątkiem panny młodej i jej siostry.

— Ty musisz być jednym z tych sławnych potworów, tyle nam o was opowiadali, to zaszczyt was spotkać — siostra panny młodej zagadała do Pyrroqua. — Jestem Magda, a to mój mały synek. Tymek.

— Miło mi poznać rodzinę Anastazji. Jestem... — Pyrroq wydał z siebie niezidentyfikowany głos, przypominający dźwięk eksplodującej planety. Potem wyszczerzył ostre ząbki i wyciągnął pazurzystą łapę, z której wysunęły się trzy macki, chcące uścisnąć rękę Magdzie. Odruchowo cofnęła wyciągniętą prawicę.

Mojmira stojąca obok, wtrąciła się.

— Pyrroq, nazywamy go Pyrroq. Musisz mu wybaczyć, ma bardzo trudny i wredny charakter, ale spokojnie, nie jest groźny. Pyrroq, przestań, proszę, być sobą, zachowuj się po ludzku, nie rób mi wstydu. — Uśmiechnęła się. — Wybacz za to, ja jestem Mojmira, przyjechałam tu z tymi dwoma potworami, pilnuję ich, żeby nie zrobili niczego głupiego, jak teraz. A ten drugi, zielony, co tak się trzyma z boku, to Chronos.

— Więc ty także jesteś spoza Ziemi? Mieszkasz z nimi na jakiejś planecie? — Magda zapytała. — Nie przewidywałam, że kosmici będą tak podobni do ludzi.

— Dobrze przewidywałam. — Mojmira się zaśmiała. — Ja się urodziłam na Turandii, tej wysepce na Atlantyku. Jestem w stu procentach człowiekiem i Ziemianinem. — Zauważyła, że Magda wyraźnie się rozluźniła. — W kosmosie wcale nie ma tak wielu myślących istot, jak to mówią filmy. Najbliższe nam, pozaziemskie życie, jest bardzo daleko, poza naszą gromadą galaktyk. A i tak, to jakieś niedorobione szczuropolodopodobne cosie, głupsze od naszych ziemskich szczurów. Jednak niestety, żadne istoty nie są zielonymi ludzikami z wielkimi oczyma.

— Więc moja siostra, Anastazja, was zaprosiła. Od jak dawna znacie się z panną młodą? Jak to się stało, że poznała tak ekscentryczne osobistości? Musi to być bardzo nietypowa znajomość.

— Bardzo standardowo. Uratowaliśmy jej życie z płonącego pociągu, jak wielu innym osobom. Ci „obrońcy”, jak sami siebie nazywają, we własnym języku, są dostatecznie rozwinięci technologicznie i kulturowo, aby móc bez-

problemowo podróżować po wszystkich galaktykach. No i zdarzyło się, że byli tu na Ziemi i akurat uratowali twojej siostrze życie. A że wtedy i ja byłam z nimi, to panna młoda, wzięła sobie za życiowy cel mi się jakoś odwdziaczyć. I tak oto zaprosiła mnie, Pyrroqua i Chronosa na swoje wesele, nie zważając na nic, straszac, przy okazji, większość gości.

— Więc to wy ją uratowaliście? Nic mi nie mówiła.

— Oficjalna wersja to chyba wybuch pobliskiego wodociągu, który zgasił pożar. Znaczący, wodociąg rzeczywiście zgasił pożar, ale nie sam z siebie. — Mojmira westchnęła. — Wiesz, co by się działo, gdyby tak po prostu wszystkim, nagle objawić prawdę. Cześć, jesteśmy potężną, ludzko-potworową, organizacją kosmitów, będziemy wam zwalczać zło.

— To pewnie dlatego Anastazja powiedziała gościom, że zaprosi dwóch klaunów w kostiumach. Ciężka dola superbohaterów. Ale nadal wam trochę zazdroszczę.

— Jestem taką samą superbohaterką, jak ty. Właściwie, to w moim przypadku, sama przyszedłam do potworów, a nie oni do mnie. Odkryłam, że Turandia, to sztuczna wyspa, osiedlili tam garstkę ludzi w 1818 roku, stylizując to na katastrofę statku. Celem miało być stworzenie szczęśliwej cywilizacji od nowa. Moja wścibskość, doprowadziła mnie do prawdy i nawiązałam z nimi kontakt. Wyszło na to, że ten eksperyment dawno był zapomniany i od lat nikt się nim nie interesował! Ale zamiast wyczyścić mi mózg, pogratulowali, i pozwolili dołączyć. Okazało się, że w swoim świecie prowadzą całą akademię ludzi. Zrzeszają wiele osób, podobnych do mnie, bo po prostu chcieli mieć pomoc i podzielić się potęgą. Dali nam technologię i kazali razem ratować światy. Czasami wołałabym nadal siedzieć z rodzicami w chatce, na Turandii.

Mały Tymeek podszedł do Pyrroqua. Miał małe, niebieskie oczka, blond włosy i słodki garniturek. Buzia umazana tortem. W ręku trzymał wymięty rysunek Pyrroqua.

— Jesteś smokiem? — zapytał — wezmiesz mnie do na lot do smoczego królestwa?

— Pewnie. — Pyrroq odwrócił się i nachylił. — Wskakuj.

Tymeek spróbował wejść po jego kolecach na grzbiet, ale jak tylko złapał się półkolistego noża, zaraz przeciął sobie rączkę. Krew i łzy pociekły na podłogę, a płacz poszedł w nocne niebo.

— Co ty zrobiłeś mojemu dziecku! — Magda dopadła potwora, żeby okładać go torebką, ale zaraz się cofnęła ze strachu i złapała płaczącego synka.

— Ja? Nic. To twoja wina, że masz głupie dziecko, które nazywa potwora smokiem i łapie się jego ostrych koleców. I jeszcze traktuje mnie, jak jakiegoś konia, może specjalnie siodło mam założyć?

Mojmira złapała krwawiącą rączkę Tymka, wyciągnęła kamienną buteleczkę i psiknęła kilka razy na ranę, która zaraz zniknęła.

— Uwierz mi, ale on nie jest aż taki zły, na jakiego wygląda. Jest tylko wredny. Nie zabiłby twojego dziecka, przysięgam. — Mojmira uspokajała Magdę i Tymka. — Wiedział, że mam trochę antyczasu i zaraz ulecę Tymka i nic się nie stanie, jak zatnie się o kolce.

Magda jednak już zapomniała, o cierpieniu swojego dziecka, i utkwiała wzrok w magicznie leczącej rany, kamiennej buteleczce.

— Co to za magia? Gdzie można to kupić? Tymek potrzebowałby tego codziennie, to przebojowe dziecko, a ja wydaję fortunę na plastry. Co tam, każdy tego potrzebowałby, będziecie to sprzedawać? Sprzedawajcie.

— Tego nie można kupić, to trzeba wytworzyć. — Mojmira zaczęła tłumaczyć. — To jest antyczas. Środek, który, gdy się go dotknie, odwraca upływ czasu. Tak naprawdę, to nie uleczyła rany Tymka, a cofnęłam jego dłoń o kilka minut wstecz. Spokojnie, to bardzo małe stężenie. Powstaje poprzez dodanie jakiejś antymaterii, do dodatniego płynnego czasu, który z kolei postarza przedmioty przy kontakcie. Jest w kamiennej buteleczce, właśnie dlatego, że kamień jest stary i długo może być odmładzany, a szklana butelka, zaraz zamieniłaby się w piasek. A pewnie zapytasz, jak powstaje ten dodatni, płynny czas? — Odwróciła się do Chronosa, który zabawiał jakichś gości, staniem na ogonie. — Każdy z potworów ma jakąś moc, Pyrroq potrafi wytworzyć bomby i zdalnie je eksplodować, a Chronos... cóż. Teoretycznie potrafi sterować czasem. — Nachyliła się nad ucho Magdy. — A w praktyce jest tak przerażony używaniem swojej mocy, że nigdy tego nie robi. Tyle się nasłyszał o paradoksach, rozerwaniach czasoprzestrzeni, czarnych dziurach, że jest sparaliżowany tym kompletnie. Teoretycznie więc, najsilniejszy ze wszystkich, w praktyce, najsłabszy. Używa jedynie standardowych mocy: lasera i pola siłowego. Ale jak się go przymusi, żeby jakoś spróbował sterować cykaniem zegara, to po nieudanych próbach, zostaje taka zielona substancja, płynny czas.

— Czyli to jest taka jakby jego krew? Krew potwora?

— Potwory nie mają krwi, ani mózgu, ani żadnych organów wewnętrznych. To taka żywa materia. Bardziej to jako pot. Pot potwora. Co się wykrzywiasz, chciałaś wiedzieć, to wyjaśniam. — Zwróciła się do Tymka. — A Chronos też potrafi latać, jak nadal chcesz, to z chęcią zabierze cię, do królestwa smoków. I specjalnie założy siodło.

— Zielony smok, to nie smok, ja chcę czerwoneeeeegoooo.

Sala bankietowa nie miała dachu, ciepła noc, i lekki wiaterek, orzeźwiały gości. Chmury zaczęły się przeredzać i niedługo miał wyjść księżyc. Mojmira, po spróbowaniu wszystkich dań zaczęła żałować, że nie dopchała się

do tortu, ale pocieszała się tym, że na pewno nie był lepszy, niż niektóre kosmiczne przysmaki, jakie miała okazję skosztować, na swoich misjach. Wtedy też zauważyła, jak ludzie zaczynają się dziwnie rozglądać na boki. Podszedł do niej Chronos.

— Mojmira, czy to normalne u ludzi? Widzę, że wielu na sali, nabrało jakichś niespokojności. Co się z wami dzieje? Co to za anormalność? Wy tłumacz.

— Spokojnie, w sumie. Na pewno nic groźnego. Ja nie czuję nic dziwnego. A czy ty coś czujesz?

— Wszystko czuję. Patrz, połowa ludzi nie umie poprawnie tańczyć, przecież dla ludzi tańcowalność, jest wbudowana w mózg. To pewno owoce klonu, sprawdź, czy nie są roślinami, podszywającymi się za ludzi...

— Skończ.

— Księżyc wychodzi zza niebobrudów, w telepogodoprzepowiadarce było to przepowiedziane dopiero na za dwie godziny, czy to dlatego że, za horyzontem szaleje jakieś burzodziwactwo, modyfikujące pogodę? Musimy to zweryfikować.

— Proszę.

— Albo celowo źle nam oznajmili pogodę, pewnie mają w tym jakąś mordochęć. Lecimy to potwierdzić.

— Przestań.

— Racja. Za dużo teorii spiskowych. Pewnie po prostu ludziopaliwo jest zatrute. Nie dotykałaś, mam nadzieję, niczego co leży na stołach? Ani nie wąchałaś? Ani nawet nie podchodziłaś do nich? W rakiecie mamy sporo bezpiecznych ludzkoęgobwkładów, specjalnie aby nie jeść niezwyfikowanego.

— Dość.

— No więc dlaczego posiadasz brak wiedzy, na temat tego co się tu aktualnie dzieje? Agent ALOPP musi być zawsze czujny, niespodziankośmierć czyha wszędzie. Może ktoś wypuścił coś do powietrza?

— Jedzenie nie jest zatrute. Zjadłam po trochu wszystkiego, co tu leży i nic mi nie jest.

— To koniec. Trujomateria o zwolnionym zapłonie, to ostatnia godzina twojej egzystencji, zaraz skrócę ci męki, nadstaw tętnicę.

— Chronos! Koniec! Czemu ze wszystkich potworów akurat wy dwaj, musieliście ją uratować? Nie mogę was znieść. Nic poważnego się nie dzieje. Jeden panikuje, drugi kroi dzieci. Ludzie są niespokojni, tak, ale przecież jedli to samo, co ja poza... — Mojmira odwróciła się w kierunku środka sali — tortem.

— Zatruty tort, klasyczne.

— Nie śmiej się, to poważne. To mogłoby się zdarzyć, na sali jest wiele ważnych osobistości. Doskonałe miejsce na zamach.

— A dlaczego dowiadujemy się tego godzinę po tym, jak ów tort zniknął w jedzenioworkach ludzi, których masz za zadanie chronić? Słucham? Czemu od początku nie spacerujesz z omnimetrem, nie testujesz wszystkiego, pod kątem każdej śmiercionośności?

— Nie spodziewałam się, zaprosili nas jako gości, uznałam, że wszystkiego pilnują. Poza tym, ten tort tak szybko zniknął, nawet nie było się jak mu przyjrzeć. I hej, jestem od niedawna w ALOPP, jeszcze nie mam doświadczenia.

— Musimy ewakuować ludzi, brudny tortopodpieracz nadal emanuje śmiercią. To pewnie trucizna lotna.

— To się nazywa patera. Naucz się polskiego. Torty podaje się na paterach! Bycie kulturalnym człowiekiem, polega na rozróżnianiu wszys...

— Patera, ciastobaza, nóżkotalerz, podcukrogrzybek, deserotrzymadło. Co za różnica. Nie znam się na sztucéologii, potwory nie używają paterów.

— Paterek.

— Idź już.

Mojmira wyciągnęła omnimetr i jeździła nim po resztkach ciasta, ale nie wykrył on żadnej trucizny, poza nieprawdopodobną ilością cukru. Jednak to, nie uspokoiło wcale Chronosa. I Pyrroq się zaciekał.

— Uniwersalność. Sprawdzaj zawsze uniwersalność. O ile trucizny są tylko na ludzi, to uniwersalność jest łatwozabijaczem, dla całej Ziemi.

Wyciągnęła miernik uniwersalności i wypuściła zaraz z ręki, gdy wskazał wartości spoza skali.

— Uniwersalność, więc tak zginiemy. Zawsze to podejrzewałem. To koniec. Nie. To gorzej. Nieprawidłowomateria, spoza naszego świata, jest obok nas, i w ludziach wokół. Sztuczny wytwór, łamiący dowolne prawa fizyki, znowu trafił na Ludziokulę. Cokolwiek może się zdarzyć, wyrosną wszystkim dodatkowe kończyny, a potem te kończyny, zmieniają się w koniczyny, rzucają się na nas i przywołają armię nożyczek, która wytnie wszystkie okoliczne drogopokazywacze w śnieżynki. A te z kolei zaczną się obracać, jak dyskopiły, i założą swój własny biznes tartaków, zniszczy on gospodarkę kraju i zmusi ludzi do rzucenia się z głodu w ocean, ale nie będą mogli wodoodetchnąć, gdyż podmorskie lawapluje, zasilane wiatrem z krów, które zjadły za dużo koniczyny, podniosą dno morskie i...

— Czy możesz wreszcie przestać?

— Przestać? Ale przecież tak właśnie działa uniwersalność. Magia, dowolnobyć, nieposkromienie, łamanie praw fizyki. Wszystko. Wszystko. Wszystko.

— Chronos ten jeden raz ma rację, Mojmiro. — Pyrroq był podejrzanie spokojny. — Uniwersalność nie ma granic. Żadnych. Już pominę że, sam zjadłem całkiem sporo tego tortu. Cóż, nie sądziłem, że tak zgine. Ale

uniwersalność to nawet zabawna śmierć, nie boję się. A jak i tak wszyscy zginą, to może, ach może, w końcu będę mógł bezkarnie mordować!

— Co oczoląpiesz? Powiedz! — Chronos potrząsał Pyrrokiem.

— Sam nie wiem, wydawało mi się, jakby ludziom rozpraszało się lekko ubranie. A jak chciałem podejść, to wszystko wracało do normy. Panna młoda miała dłuższą suknię, tamten gość był jakiś większy, a ten dostał wiśiorek na szyi. To się działo przez chwilę, a potem zniknęło. Lepiej sprawdź, tym miernikiem, co było źródłem. Może ktoś, czegoś, w kuchni dosypał? Celowo, albo i nie.

Mojmira machała miernikiem na wszystkie strony. W kuchni nie było niczego groźnego. Był jednak cienki szlaczek na podłodze, który szedł do leżącego pod stołem, małego kamyczka.

— Och. Czy to możliwe? — Pyrroq się zastanowił. — Pamiętacie, jak do tortu, wpadła rakietka? To nie była rakietka, tylko meteoryt. Ten właśnie kamyczek, znalazłem go w swoim kawałku... znaczy piętrze i wyrzuciłem w cholerę.

— Dotykałeś uniwersalności! Nie zbliżaj się! — Chronos schował się za Mojmirę.

— Chodźmy na zewnątrz. — Mojmira rozejrzała się po ludziach, którzy przyglądali się, zwabieni rykami Chronosa. — Dlaczego nie powiedziałaś? To nietypowe, meteoryty nie wpadają na Ziemi do tortów, jak muchy do zup.

— Nie? Myślałem, że jak latają po kosmosie, to trafiają w planety i nie zawsze się palą w atmosferze. Mogą wtedy wpadać w różne, dziwne miejsca. I że to się zdarza cały czas.

— To się zdarza bardzo rzadko, a ich prędkość rozwaliby cały tort, razem z paterą, stolikiem i kawałkiem podłogi. Ale to uniwersalność i nie musi słuchać się fizyki.

Mojmira ukradła szczyptę z sałatki i podniosła nimi meteoryt. Wyglądał, jak całkowicie normalny kamyczek, z tym że stawiał dziwny opór w trakcie ruchów. Trzeba będzie go dokładnie zbadać i wymyślić sposób na neutralizację.

Byli akurat na zewnątrz, nad stawem, i obgadywali plan działania. Pyrroq formował płaskie bomby, a potem puszczał nimi kaczki, pomagając sobie mocą zdalnej manipulacji. Na końcu eksplodował je pod wodą, w majestacyjnych wybuchach.

Wtedy zza chmur wyszedł księżyc, w całej okazałości, razem z gwiazdami. Zbiegło się to z krzykami ludzi na weselu. Uniwersalność reagująca na światło serokuli? Chronos miał obawy. Lecz Mojmira stwierdziła, że równie dobrze może być to zależne od fal grawitacyjnych, powstałych przy zderzeniu się jakichś czarnych dziur, akurat będących w pewnej odległości lat świetlnych,

równej liczbie ziarenek piasku w doniczce, z tulipaniem, w jakimś domu, o adresie będącym liczbą pierwszą i na ulicy pamięci człowieka, który zmarł w 1966 roku. Chronos pogratulował Mojmirze, że zaczyna rozumieć, na czym polega uniwersalność.

Szli szybko, z powrotem do drzwi, gdy wypadła z nich panna młoda, ścigana przez mały tłumek.

— Pokaż tę suknię, jest taka piękna.

— Muszę się przyjrzeć tym świecącym diamentom.

— Czy to białe złoto, oplecione platyną?

Aby uratować pannę młodą, Pyrroq zrobił to, w czym był najlepszy. Tupnął łapą, ryknął i wystraszył wszystkich z powrotem, aż jeden się przewrócił.

— Nie proszę, nie zjadaj mnie! Nie nadziewaj mojej głowy, na swoje kolce! Nie chcę dołączyć to twojej kolekcji! — krzyczał.

— O czym ty mówisz? Przecież on nie mógłby niczego bolcoprzebić na swoje ciało, bo ma półkoliste kolce — zdziwiony Chronos odpowiedział. — Zobacz, przecież nie ma żadnej kolekcji ludziomózgokulek.

— Czego? — Wystraszony gość wstawał. — Jak to nie ma tych głów! Jest wielki, brudny i śmierdzący. Pokryty zaschniętą krwią swoich ofiar. Ma wielkie szpikulce na całym ciele, na które powbijał głowy tych, których zjadł! Jeden, dwa, trzy... sześć wyschniętych czaszek, dziecięcych. I ten błysk śmierci w oku. Zabije mnie i całą moją rodzinę, w męczarniach.

— Chyba za dużo wypieś. Ja nie widzę w nim nic z tego, co opisujesz.

— Mojmira podeszła do niego, żeby pomóc mu wstać, ale sam się uwinął szybciej i uciekł. — Czy ta uniwersalność polega na tym że, ludzie widzą... Pyrroq! — Mojmira aż się przewróciła w tył, tak samo jak gość. — On miał rację, patrząc stąd, jesteś przerażający! I obrzydliwy.

— O co chodzi, ja nadal widzę go normalnego. — Chronos nie dowierzał.

— Czyli ma to związek z odległością?

Mojmira wstała i zaczęła powoli podchodzić do Pyrroqua, którego kolce z każdym krokiem stawały się coraz mniejsze. Zaschnięta krew zniknęła, a czaszki parowały. Będąc na wysokości Chronosa, widziała już dawnego potwora. Ale postanowiła iść dalej. Wtedy ponownie zaczął się zmieniać. Tym razem porósł futrem, półkoliste już kolce, zmieniły się z ostrych noży na pluszowe. W końcu go dotknęła. Nie był twardy i kanciasty, jak zwykle, a miękki i przytulaśny, a do tego ciepły, co było dziwne, gdyż potwory są zmiennocieplne. Ścisnęła go.

— Weź przestań. Nie jestem pluszakiem. — Pyrroq zaczął ją delikatnie odklejać od siebie. — Sama słyszałaś, jestem groźny i noszę czaszki zjedzonych dzieci na kółkach.

— Rzeczywiście, jesteś dziecięciskakiem. — Chronos także podszedł do niego. — Mojmira, nie wtulościskaj się do uniwersalności, na miłość Boską.

To wygląda na jakąś zależność od odległości, z której aktualnie oczolapiemy. Ani ja, ani Mojmira, nie zjedliśmy tortu, ale nadal widzimy zmianę wyglądu Pyrroqua, który zeżarł cały tortosegment.

— To nie tylko wygląd, ja czuję rzeczywiste futro. I czułam także jego smród z daleka. A ty, Pyrroq, widziałeś jakąś zmianę w nas?

Pyrroq zaprzeczył. A potem spojrzał na przestraszoną pannę młodą, stojącą na małym półwyspie. W tej nienaturalnie uniwersalnej sukni, wyglądała absolutnie kosmicznie. W świetle księżyca, jej ubiór mienił się, prezentując wszystkie odcienie bieli. Tysiące diamentów, każdy dokładnie oszlifowany i wpleciony w jedwabne nici od jedwabników, karmionych jedynie kwiatami paproci. Na tle czarnej wody, wyglądała jak słowiańska bogini. Jak zakłęty łąbędź, albo tajemnicza zjawia. Jej welon, targany przez wiatr, niczym rosa na pajęczynie, zostawiał w powietrzu srebrny pył. Poświata sukni była tak jasna, że można było przy niej czytać. Odbicie w wodzie wręcz przestało się marszczyć, aby tylko nie skałać wyglądu postaci. Wokół latały świetliki i dopełniały wspaniałości.

Jednak Pyrroq, Chronos i Mojmira widzieli wystarczająco dużo skarbów wszechświata, żeby nie rzucać się bezmyślnie na białe złoto, oprawione platyną, jak robili to przed chwilą goście. Podobnie jak to było z Pyrrokiem, podchodzili do niej, a jej suknia gasła z każdym krokiem. Z bliska nie miała na sobie żadnej sukni, a jedynie proste ubranie. Całkowicie niepozorna, szara myszka.

— Czy ktoś mi wytłumaczy, co tutaj się do cholery dzieje? To wasza sprawa? — zapytała.

— Nic szczególnego, jedynie najgroźniejsza forma materii we wszechświecie, przez przypadek wpadła do weselociasta i zatrula wszystkich gości, tak że widzą iluzjybyty — Chronos odpowiedział.

— Próbuje ogarnąć, jak działa. Sytuacja jest poważna, ale jeszcze nikt nie umarł, więc mogło być gorzej. — Mojmira patrzyła to na szarą myszkę, to na krwawego mordercę w oddali. — Wiemy że, patrząc na osobę, która zjadła trochę tortu, widzi się trzy różne rzeczy. Pyrroq z daleka jest wściekłym mordercą, ze średniej odległości normalny, a z bliska słodkim kotkiem. Ty natomiast, z daleka nosisz nieprawdopodobną, diamentową suknię, ze średniej odległości, jesteś ubrana w twoją zwyczajną suknię ślubną, a z bliska, nosisz bardzo niepozorne ubranie. Coś musi łączyć te trzy rzeczy.

— Pyrroq, chodź tu i pomóż nam! — Chronos zawołał. — Nie stój tam i nie sercozawaj ludzi.

— Mnie nie przeszkadza. Jest dobrze. — Patrzył na lustra zdobiące zewnętrzne sali i robił groźnie pozy. — Poradzicie sobie beze mnie. Na co wam bezużyteczny kociak. I zawołajcie kilku gości, niech się przestraszą.

— Byłam w sali bankietowej, gdy to się zaczęło, ludzie otrzymywali

góry pieniędzy, kobiety, samochody. Ale zawsze, jak podchodziłam bliżej, to wszystko znikало. Zmieniało się w coś odwrotnego. Te osoby, które dobrze znałam, one z bliska zmieniały się w... siebie? Prawdziwych siebie. — Panna młoda wpatrywała się w swoje odbicie w wodzie. — Zawsze chciałam mieć niewyobrażalnie doskonałą suknię ślubną, ale w głębi duszy... chyba właśnie jestem takim nikim. Trzy odległości. To jacy chcemy być, to jakimi widzą nas inni i to jacy jesteśmy wewnątrz.

— Czy może być to aż tak proste? — Mojmira się zastanowiła. — Wiem, że Pyrroq chciałby być taki, taki obrzydliwy, budzić postrach. A jednocześnie jest aż za dobry wewnątrz i do końca nie skrzywdzi nikogo. A to całkiem logiczne, że chcąc mieć diamentową suknię, wewnątrz, wybac mi, wcale nie jesteś diamentowa. Uniwersalności pokazującej pragnienia i wygląd serc jeszcze nie spotkaliśmy.

— Wszystko to nieprawda. To, jacy chcemy być, nie ma znaczenia, bo i tak nigdy się to nie stanie. Nigdy nie będę mogła kupić takiej wymarzonej sukni i nosić gigantycznych diamentów, a przecież biedna nie jestem. Marzenia nie mogą przyćmić naszego aktualnego życia, gdyż nigdy nie marzymy o realistycznych rzeczach. Suknia, której nie da się wyprodukować, samochody, niespalające paliwa, doskonałe żony i dyplomy uczelni, bez przykładania się do nauki, ludzie o tym marzą, ludzie tego nie mogą dostać. — W odbiciu luster, jej suknia zaczęła marnieć i się rozpadać.

— Ale nie tym razem — Chronos odpowiedział — wszystko to, się dzieje naprawdę. Uniwersalność rządzi się własnymi prawami. Tutaj wszystko jest możliwe. Czujesz słodki zapach śmierci Pyrroqua? Zobacz, na trawie został jeszcze srebrny pył, z twojej wstążkoczapki. Zdejmiesz suknię, przejdiesz kawałek i nadal tam będzie. — Chronos zdjął polem siłowym czaszkę z kolca Pyrroqua i przyciągnął ją do siebie. — Dziewczynka, pięcioletnia, jeszcze żyła, gdy przebijano jej głowę. Możesz ją palcokontaktować, możesz jej doświadczyć, nie jest żadną iluzją. Poza tym. Czy nie dałoby się wyprodukować takiej sukni atomolącząc ją, w jakimś teleporterze? Albo podobnie, zmienić ci mózgoośmiornice w głowie, abyś zdobyła potrzebną wiedzę? To, co dziś wydaje się niemożliwe, często może być uzyskane w przyszłości. Zapewniam, że dawno temu ludzie, marzyli o niestworzonych rzeczach, całkowicie normalnych dzisiaj.

— No właśnie. Zawsze marzymy o rzeczach, dla nas aktualnie nieosiągalnych. A kiedy jednak jest okazja do spełnienia arcymarzenia, to okazuje się jakąś sztuczną uniwersalnością. — Na te słowa panny młodej, Chronos wypuścił z rąk czaszkę, przypominając sobie swoją awersję do uniwersalności. — Suknia może i będzie mogła być ubrana, ale co dalej? Jeśli akurat się zdarzy, że nie będzie powodowała jakichś kłótliwych efektów, to co ze mną? Jeśli będę miała suknię, to będzie koniec. Największe marzenie speł-

nione, pora umierać. To właśnie dążenie do sukni, trzyma nas przy życiu. Spełnienie najwyższego marzenia, koniec drogi. Nacieszysz się nim dzień, a potem ono uświadomi cię, że nie masz już w życiu celu. Wesele nie może wiecznie trwać, nie ma nieskończonej ilości dróg, do jazdy supersamochodem, a dyplom nie służy do powieszenia na ścianie. — Odbicie w lustrze przedstawiało makabryczną pannę w sukni zjedzonej przez mole. Ale jej bliski wygląd wracał z szarej myszki do normalności.

— Ale jeśli nasze najwyższe marzenie, nie może być nigdy osiągnięte, to po co żyć? — Mojmira nie płakała.

— Po to, żeby zastępować je mniejszymi. To nas pociąga do działania, nie sam główny cel, ale pomniejsze. Nie można mieć diamentowej sukni, ale można mieć mniej magiczną. Można mieć bardzo ładną, normalną suknię. Taką, jak ta.

Diamentowa suknia w odbiciu, rozpadła się zupełnie, a ubranie myszki, ewoluowało do standardowej sukni, jaką panna młoda początkowo nosiła. Mojmira przyłożyła do panny miernik uniwersalności, który teraz wskazywał całkowite zero.

Już nikt nie krzyczał. Ludzie stali w równej odległości od siebie, patrzyli w lustra i na siebie nawzajem, robiąc dziwne ruchy. Każdy podziwiał swoje odbicie. Panika się skończyła. Była jedynie martwa cisza.

Nikt nie zwrócił uwagi na pannę młodą, która była jedyną ruszającą po sali postacią. Chronos i Mojmira patrzyli z okna, jak jej idzie. Sunęła w swojej sukni przez surrealistyczne widoki nierealistycznych postaci, skąpanych w świetle księżyca. Wysunęła się zza sportowca, obwieszonego medalami z olimpiady ze wszystkich dziedzin, zwłaszcza tych które odbywały się jednocześnie. Przejechała ręką po karoserii termojądrowego samochodu sportowego, swojego wujka. Doszła do wielkiej góry mięśni, która była bardziej szersza, niż wyższa i kilkukrotnie większa od potwora. Wszyscy bohaterowie komiksów złączyli razem. Postanowiła jednak przejść przez środek. Mięśniak rozmywał się pod jej obecnością, w centrum zobaczyła chudego patyczaka, nie rozpoznała, który to był z gości. Jej stryj siedział na kupie papierów i coś pisał, wszystko to były badania medyczne i przepisy na lekarstwa, do leczenia każdej choroby. W oczy rzucił jej się dokument naprawiający uniwersalność, dokument naprawiający samego siebie. W końcu jej siostra Magda, z bliska nie wyglądała niezwykle, ale panna wiedziała, jaka będzie z daleka. Odchodziła, a u stóp siostry wyrastała mównica. Magda pozdrowiała swoich wyborców. Widziała swojego ojca, jak obraca jej nowego męża na ruszcie nad ogniskiem. Sama czasami z chęcią by to zrobiła. Nagle z powietrza wyłonił się jej kuzyn. Niczym upiór z mgły. Ale gdy przeszła bliżej, zniknął ponownie. Depresja. Mały Tymek bawił się klockami i całkowicie nie zwa-

żał na to, co się dzieje wokół. W żaden sposób także nie zmieniał się pod wpływem odległości. W końcu doszła do końca sali. Pan młody spoglądał na lustro. Zobaczyła w nim samą siebie. Drugą siebie. Weszła w swoje odbicie, a jej mąż odwrócił się i uśmiechnął. Powiedział, że szukał jej wszędzie, aż zobaczył jej postać w lustrze i nie mógł oderwać wzroku. A może niektóre marzenia rzeczywiście mogą być prawdziwie spełnione? Trzy osoby i potwór, została jeszcze reszta gości i drugi potwór.

Anastazja miotła się po sali.

— Tego nie ma naprawdę, nie istnieje. Nigdy nie wygrasz całej olimpiady, to niemożliwe. A nawet jeśli byś wygrał. Jakim wrakiem człowieka się staniesz? Umrzesz rok później. — Medale odpadły i potoczyły się po podłodze. — Wujku, nigdy nie będziesz mieć samochodu na wodę, a nawet jeśli. Ile by ważył? Gdzie byś go bezpiecznie parkował? Kto by go naprawiał? Przecież nawet nie ma porządnej drogi z waszego domu do miasta. Gdzie byś nim pojechał, mając radioaktywny tokamak pod maską? Pewnie prosto do kostnicy, cięższy o całe mnóstwo dodatkowych neutronów, przewoziłiby cię w pudle do radioaktywnych odpadów. — Wujek zamrugnął, wyprostował się. Samochód zmienił się w jego własnego poloneza i zniknął. Już sześć dusz. — Siostrunio, wybaczone. Ty akurat nigdy nie będziesz rządzić krajem. I nie dlatego, że nie będziesz umiała, a dlatego, że ludzie są za głupi, aby zaakceptować twoje odważne zmiany. Jak myślisz, jak zareagowałiby wyborcy na twój pomysł tego dziwnego, wspaniałego prawa, o którym mi ciągle tyle opowiadasz? — Mównica przewróciła się z łoskotem. Siedem. — Wasze marzenia nigdy się nie spełnią, tak jak tego oczekujecie. — Osiem. — Po spełnieniu ich i tak byście żalowali. — Dziewięć. — Nie da się, nie możesz, nie zrobisz. — Wszyscy. —

Mojmira i Chronos powoli podchodzili do Pyrroqua. Jego kolce zmniejszały się tak, jak wcześniej.

— Dlaczego uważasz, że nie jesteś dość groźny? — Mojmira zapytała.

— Bo ciągle słyszę, jak to mało spiczasty jestem. Małe dzieci wolą mieć na mnie przejażdżkę, niż uciekać z krzykiem. „Ha, ha, Pyrroq. Twoje kolce wyglądają, jak noże do pizzy”. Ile razy to słyszałem.

— I jak pizzotnarkami, jesteś w stanie nimi obracać i ciąć wszystko z chirurgiczną doskonałością — Chronos opowiadał. — A do tego jeździć, jak na kółkobutach. Każdy z nas jest w czymś lepszy, a w czymś gorszy. A ja? — Westchnął. — Ciągłe mi dźwiękoprzekazują. „Jesteś najbardziej bezużytecznym potworem ze wszystkich”. „Jak można bać się używać własnej mocy”? „Co to znaczy, że nie umiesz cofnąć czasu i uratować mu życia”? „Szkodisz nie tylko sobie samemu, ale nam wszystkim”. „Sam potrafię bardziej nagiąć czasoprzestrzeń magnetyzmem, niż ty dedykowaną zdolnością”. „Wstyd, wstyd”. „Prędzej wynajdziemy wehikuł czasu, niż ty sam nauczysz

się używać własnej mocy”. Ile razy już to dźwiękoodbierałem.

— Widzisz? Obaj nie jesteście doskonali i nigdy nie będziecie dokładnie tacy, jacy chcecie. — Mojmira jeszcze bardziej się zbliżyła. Spiczaste kolce zniknęły zupełnie. — Ale czy to powód, żeby nie mieć w ogóle marzeń? Zapewniam cię, Pyrroq, że większość kosmitów trzęsie się na wasz widok ze strachu. I nie ma znaczenia wygląd, wasza zła sława niesie się wszędzie i działa znacznie potężniej, niż jakieś igły. Mniejsze marzenia, Tymek nadal czeka na swojego czerwonego smoka. — Mojmira ostatecznie ścisnęła Pyrroqua. Był zimny, twardy i kanciasty. Taki, jak zwykle.

Goście po tej przygodzie, na pewno nie chcieli kontynuować wesela. Wszyscy, z wyjątkiem najbliższej rodziny Anastazji, pakowali się do odjazdu. Ale czy wesele okazało się kłapą? Ludzie powyciągali lekcje z tej przygody, co jest znacznie ważniejsze, niż dotańczenie tańca do końca.

Rozdział 6

Sam przeciw wszystkiemu

Wioska jest atakowana przez literackie demony. Tylko dzielny, acz niedoświadczony wojownik jest w stanie je pokonać, używając do tego swojego miecza kreatywności i worka z alternatywnym wszechświatem.

Gdy tylko czubek głowy Wielkiego Neofantasora wyłonił się zza gór, odpalono armaty załadowane gorącym atramentem. Katapulty wystrzeliły litery, a papierowe samoloty wzniosły się w powietrze. Wszystko na darmo, wielkolud ani drgnął.

Wojownicy z wioski, uzbrojeni w pióra i kałamarze, ruszyli do boju. Atakowali wroga, używając całego swojego doświadczenia. Opowiadania cyberpunkowe, fantasy i fantastyki naukowej cięły powietrze. Horrory, wiersze i dzieła detektywistyczne rozbijały się o jego ciało. Jednak niewzruszony Neofantasor pozostawał niewzruszony. Stał przed wioską i wysypał z rękawa, niczym wytrzepując piasek z buta po całodniowym siedzeniu na plaży, dziesiątkę straszliwych demonów. Demony szybko i sprawnie rozprawiły się z całą obroną, rzucając po jednej gwiazdce w każdego z wojaków. Nikt z nich nie przeżył, wieś została bezbronna.

Ale jak to w baśniach zwykle bywa, znalazł się młody syn doktora — Antyrax. Trochę ułomny językowo i bez jakiegokolwiek doświadczenia, postanowił dzisiaj zginąć w walce. Nie miał, jak wszyscy, zbroi, pióra, czy zapasu atramentu. Posiadał jedynie szklany miecz, wypełniony płynną kreatywnością, dmuchawkę z serum śmiechu, lateksowe buty i worek z alternatywnym wszechświatem.

Najbliższa demonka, Obudzona, została kopnięta z lateksowego buta i nawet nie poczuła. Dopiero serum śmiechu, wstrzyknięte w szyję, zwróciło jej uwagę. Wtedy Antyrax sięgnął do swojego worka i wyciągnął pewną rzecz. Obudzona zamrużyła, nie rozpoznając zupełnie, co to jest i czy się tego bać. Wojownik też oglądał rzecz ze wszystkich stron, ale i on nie rozpoznał, co

właściwie właśnie wyciągnął. Wyrzucił za siebie i spróbował znowu.

Po kilku minutach wyrzucania różnych, nieokreślonych obiektów z worka, spostrzegł że grupka demonów go otoczyła i z zaciekawieniem obserwuje jego zmagania z samym sobą. Nie umiał używać własnego wszechświata. Co za matoł. Postanowił więc wykonać swoją powinność w tradycyjny sposób i wbił swój miecz w najbliższego demona, który odskoczył z bólu. Przynajmniej to działało. Nie długo cieszył się z sukcesu, zaraz wszystkie demony razem wzięły i dmuchnęły w niego strumieniem przecinków — jego największą słabością.

Pierwszy lecący znak interpunkcyjny ominął, podskakując na lateksowych butach, drugi skontrował mieczem, lecz tysiąc kolejnych odrzuciło go na kilkaset metrów w bok. Upadł obolały w błoto, po drugiej stronie wioski, ale na szczęście nic sobie nie połamał. Na koniec, lecący błąd ortograficzny prawie rozciął go na pół, Antyrax zdążył odskoczyć, lecz puścił miecz, który pękł na drobne kawałeczki, zmiażdżony przez „Ó”. Kreatywność wsiąkła w błoto, tworząc nowe królestwo błotnych mrówko-androidów zasilanych parą z wody basenowej.

Antyrax był bezbronny, wstał i zobaczył, jak jago wioska właśnie jest równana z ziemią. Cień Wielkiego Neofantasora, wychylającego się zza góry, wyglądał, jak dłoń dziecka, które zagarnia klocki z ziemi, aby je zaraz obsłinić i połknąć. Czy to był już koniec dla niego i dla wszystkich?

— Nie, to nie koniec — pomyślał, sięgając po worek.

Jego lateksowym butom wyrosły śmigła wspomagane skryptem w Bashu i poniosły go prosto pod nos Obudzonej, zostawiając linuksowy ślad. Zaciekawiona demonka rozpoznała niedojdę, którego wcześniej zmiażdżyła. Antyrax nie miał już nic, tylko worek. Sięgnął do niego i długo nie wyciągał ręki.

— Mam coś specjalnie dla ciebie, Obudzona.

— Kolejny dzień w pracy, kolejny dzień robienia bezużytecznych czynności, dla bezużytecznej korporacji, w tym bezużytecznym świecie — pomyślałem.

Wziąłem komórkę i zacząłem przeglądać maile. Spam z reklamą talerzy, zaproszenie do znajomych na Facebooku, oczywiście od obcej osoby. Powiadomienie o komentarzu na YouTube, powiadomienie o mailu na innej skrzynce pocztowej, przypomnienie o opłacie za subskrypcję tej bezużytecznej gry komputerowej i tysiąc innych bezużyteczności. O, znowu rozpętałem gównoburzę na Mirko i zablokowali mi konto Twittera za niepoprawną politycznie myślozbrodnię. Bez użyteczność do kwadratu.

Z nadmiaru bezużyteczności, zdrzemnąłem się w ubraniu na godzinę i obudziłem przez głośne gruchanie z okna. Czyżby jakaś użyteczność w końcu mnie spotkała? Na oknie siedział biały gołąbek, w dzióbku trzymał kopertę.

Nie będąc pewnym, czy nadal nie śnie, odebrałem przesyłkę i przyjrzałem się kopercie. Gołąb zaraz zniknął, oddalając się bezszelestnie.

Koperta była z papieru czerpanego. Adresowana była elegancką kursywą do mnie, do Mateusza Mechalcznego, zamieszkałego na ulicy Szerokiej w Gdańsku. Województwo Pomorskie, Polska, Ziemia, Układ Słoneczny, Galaktyka Droga Mleczna, Gromada Lokalna, Pierwsza Kwadra. Z tyłu widniała pieczęć z wosku pszczelego. Wypukły obraz kuli i jakiś napis z niezrozumiałych znaków. Przecież był 2017 rok, kto jeszcze wysyła papierowe listy zamiast maili? To był kawał. To musiał być kawał. Pytanie jeszcze, jak ktoś go mi wyciął?

Ostrożnie otworzyłem kopertę, trzymając ją obcęgami, spodziewając się że coś strasznego zaraz na mnie wyskoczy. Nic takiego się jednak nie stało. Pisany odręcznie atramentem list był tym, co zwykle znajduje się w kopertach zaklejonych pieczęcią.

Szanowny Panie Mateuszu Mechalczny.

Mam zaszczyt zaprosić Pana na uroczysty bankiet z okazji wyboru na jednego z przyszłych członków ALOPP. To wielki zaszczyt, móc gościć nowych agentów tej organizacji na pokładzie mojego [słowo z dziwnych znaków]. Mam najskrytszą nadzieję, że zostanie Pan przyjęty i będzie mieć Pan we współpracy z [znak niczym wydrapany na ścianie] udział w walce o wspólne dobro.

Zapraszam do siebie dnia 20 października, roku Pańskiego 2017. Myślę, że marina w Głównym Mieście będzie doskonałym miejscem na lądowanie mojej kuli i tam się spotkajmy w lokalne południe. Po obiedzie wybierzemy się w podróż na Felicję, gdzie pozna Pan swoich przyszłych, mam nadzieję, członków przybranej rodziny.

Przypominam, że w [to samo słowo z dziwnych znaków] oprócz najwyższej kultury osobistej, od zawsze obowiązywał elegancji ubiór francuski. Wszyscy goście powinni przywiązać najwyższą dbałość o szczegóły swojego wyglądu. Uprzejmie proszę także, aby nie posiadać na pokładzie żadnych urządzeń użytkujących elektryczność.

Z Bogiem. — Profesor [kolejne słowo z dziwnych znaków]

Zaczynało się robić ciekawie. Autor tego dowcipu chciał, abym za trzy dni, w XVIII wiecznym stroju pałacowym, udał się w środek miasta w dniach szczytu, nie zabierając ze sobą żadnej elektroniki. Potem miałem przejść test na zostanie członkiem jakiejś organizacji. Trzeba dokładniej przestudiować ten list.

Szybkie szukanie Felicji w internecie wskazało jedną stronę o teoriach spiskowych. Felicja miała być planetką, stworzoną przez kosmitów, na której hodowano ludzi, aby przeprowadzać na nich straszliwe eksperymenty. Jeśli to prawda, może zabrakło im tam królików doświadczalnych i porywają kolejnych? Ale wtedy przecież nie dawali by mi wolnej ręki.

Na tej samej stronie podano: ALOPP ma być organizacją terrorystyczną zrzeszającą ludzi w celu mordowania obywateli własnej planety. Ale od czego był to skrót, to nikt nie wiedział.

Pierwsza Kwadra dawała za dużo losowych wyników, aby wywnioskować o co może chodzić.

Lokalne południe, czyli dwunasta godzina czasu słonecznego, uwzględniając jeszcze czas letni, to trochę przed trzynastą czasu strefowego. Przyjdę o 12:00, najwyżej trochę poczekam.

Wikipedia natomiast wskazała, że gołębie pocztowe w żadnym wypadku nie mogłyby doręczyć listu bezpośrednio do odbiorcy. Ich mechanika polega na wracaniu do macierzystego gołębnika z dowolnego miejsca na świecie, i tylko tyle. Listów z pewnością nie wsadzano im do dzióbka. Rozejrzałem się po pokoju, czy przypadkiem nie miałem w nim gołębnika, żeby hodować gołębie pocztowe, ale nie. Moja teoria o dowcipie zaczęła się lekko sypać.

Kilka razy, w różnych częściach świata, widziano kuliste UFO i ludzi w strojach rodem z Wersalu jednocześnie. Podobno zdjęcie kuli nigdy nie wychodziło poprawnie, a większość ludzi magicznie zapomniała o zdarzeniu chwilę po odlocie tajemniczej struktury. Nieliczni pamiętali, ale nikt im oczywiście później nie wierzył. Nikt nie znalazł ich wspólnych cech. Kulę widywano w różnych miejscach, nie ograniczała się, jak na filmach, tylko do USA, przelatywała przez centra miast, pływała pod wodą i toczyła bitwy z wojskami wszystkich krajów.

Następnego dnia zabrałem list do znajomego chemika. Potwierdził on moje obawy, list wykonany był oryginalną techniką sprzed kilkuset lat. Skład chemiczny papieru i atramentu, odpowiadał tym używanym dawno temu. W dodatku narzędzie pisanie z pewnością było ptasim piórem. Na myśl o bezużyteczności otaczającego mnie świata, postanowiłem pojutrze zrobić coś użytecznego.

Pod naporem nietypowości i kreatywności dzieła, Obudzona zaczęła krzyczeć, zwijać się w konwulsjach i palić czarnym ogniem. Zmieniła się w mały księżyc i poleciała, jak frisbee, z powrotem w kierunku Wielkiego Neofantassora.

Triumf Antyraxa nie trwał długo, za chwilę od tyłu złapała go Dedirid. Jej czarna ręka owinęła się wokół delikatnego światostwórcy, jak czarny worek na zwłoki. Zaraz go wycisnie, jak tubkę pasty do zębów. Wywijając się rybio, Antyrax zanurkował do worka i długo nie wychodził. Demonka przez godziny nachylała się nad otworem, aby capnąć go jak tylko wystawi głowę. Gdy tylko coś się wysunęło, porwała to z ochotą. Była to jednak kolejna opowieść, zabójczo eksperymentalna, niesamowicie abstrakcyjna. Nietypowość poparzyła jej łapska.

Mateusz wypożyczył wymaganą górę z wypożyczalni kostiumów. Zastanawiał się, czy nie podkraść jakiegoś szustokora z muzeum, ale to chyba nie było by zbyt poprawne. Bał się, czy mierna jakość kaftana, spowodowana nieoryginalnością, nie będzie zwracać nadmiernej uwagi w świecie najprawdziwszych atłasowych pasów i perłowych guzików. Postanowił kupić więc kilka ozdób ze sztucznej biżuterii, które wyglądały dość kosztownie, a stworzone były z byle-czego, i doszyć w losowych miejscach. Miał nadzieję, że Profesor i inni goście nie zauważą.

Z pończochami nie było żadnego problemu, znalazł je w damskim sklepie. Tak samo coś, co można było podciągnąć pod dawną koszulę. Musiała być flanelowa, z wystającymi rękawami. Ogarnął także puder.

Peruka, cóż. Przynajmniej znalazł za szafą trójkątną czapkę piracką po poprzednich lokatorach. Najgorzej, że zazwyczaj chodził na łyso, gdyż rodzice nie obdarzyli go mocnymi włosami. Potrzebował więc na szybko przykleić coś sobie na łeb. Liczył w głowie, ile lat może dostać za kradzież peruki sędziemu, gdy spostrzegł wyprzedaż starych futer. Używając magii nożyczek, kleju i moli wytrzepanych z płaszcza, wygenerował coś, co po przykryciu trójkątną piracką czapką wyglądało dość znośnie.

U zegarmistrza kupił za grosze kopertę zegarka z brakującymi wskazówkami, całość zaczeponą na łańcuszku. Zegarek nie musiał działać, ważne, aby był.

O dziwo, to buty przysporzyły mu najwięcej problemu. Niby lakierki z klamrą nie są niczym bardzo skomplikowanym, a jednak nikt ich nie produkuje. Może właśnie dlatego, że były modne trzysta lat temu. Wpadł na pomysł, aby kupić coś podobnego i przerobić. Znalazł buty dla zakładów pogrzebowych, gdyż tylko te odpowiednio się błyszczały i przyszyły im klamry od spodni. Z daleka nie było widać różnicy.

W domu ubrał się i przejrzał w lustrze. Połączenie Napoleona, Ludwika XIV i informatyka z Gdańska. Muszą zrozumieć.

O jedenastej godzinie, owego wielkiego dnia, ubrał się w pełny strój. Nie mógł się przecież tak pokazać w mieście. Pończochy zatem przykrył spodniami dresowymi. Na elegancki szustokor nałożył nieco za dużą bluzę z kapturem. Lustrzane lakierki przykrył jakimiś szmatami, żeby nie zwracały zbytnej uwagi. Tylko pseudo-perukę schował do plecaka.

To nie mogło pójść tak łatwo. Z daleka zobaczył kordon policji i wojska, które blokowało wstęp każdemu wychodzącemu z Długiego Targu. Ucieszył się i kamień spadł mu z serca. Oznaczało to, że jednak nie padł ofiarą żartu. Znalazł w końcu promyk użyteczności w oceanie bezużyteczności.

Do maryny spróbował dostać się okrężną drogą, przebiegł przez Krowi Most na Wyspę Spichrzów. Klucząc uliczkami, zbliżył się do portu, jednak tutaj też była blokada. Widział w każdym bądź razie kawałek wody w basenie

jachtowym, która była mocno niespokojna, więc coś nietypowego jednak tam stało.. Popatrzył w kanał i pomyślał, że zostanie mu wskoczyć do wody i popłynąć. Ale przecież nie zostałby wpuszczony mokry do rakiety. No i co z pudrem.

Szustokor był bardzo gruby, rozpiął więc bluzę żeby się nie ugotować, teraz wszystko było mu jedno, czy ktoś to zauważy. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Jak rybka w siatce wrzucona do oceanu. Zaraz będzie widział swoją życiową porażkę jak na dłoni. Co robić? Co robić?

Wybawienie przyszło nieoczekiwanie. Oto bowiem mama z małą dziewczynką podpłynęły do niego skutermem wodnym, oferując szybką podwózkę. Myśląc, że to pomyłka, zdjął bluzę, pokazując swój strój w połowie okazałości. Kobieta jednak nie uciekła, nie przestraszyła się dziwaka, tylko się uśmiechnęła.

— Profesor Kula nie lubi spóźnialskich. Pospiesz się — powiedziała.

— Skąd... kim...

— Świat jest wielki, a zasięg potworów... znaczy tych właśnie... to jest taka jakby policja wszechświata... jest większy. Jesteś nowy, wnioskuję, że zostałeś zaproszony na test. Pospiesz się.

— Test. Ale co mam robić, żeby go zdać?

— Być sobą.

— Jak mam ci się...

— Uratuj w przyszłości też komuś życie. — Pogłaskała swoją córeczkę po głowie.

Mateusz w XVIII wiecznym stroju wersalskim zasuwał kanałem Nowej Motławy na skuterze wodnym, ozdoby szustokora mieniły się tak samo, jak latające wokół krople wody i kule wystrzelone z mostu przez żołnierzy zabezpieczających lądowanie wielkiej białej kuli w centrum miasta. Schował się na chwilę pod mostem, jak zagoniony przez wilki królik w norze, a gdy wypłynął z drugiej strony, wtedy ją zobaczył.

Była wielka, jak budynek, wypolerowana, biała i doskonale kulista. Dołem dotykała lekko powierzchni wody, tworząc promieniste fale. Odbijała w sobie cały Gdańsk. Mateusz zobaczył w niej malutkiego siebie na łódeczce-zabawce, malutkie budynki, żołnierzyków, spichrze, basenik, niebo, helikopter jak muchę i blask pełnego słońca. Już nikt nie strzelał, już tylko wszyscy patrzyli. I bali się. On się nie bał. Przyszedł tu na bankiet. Przyszedł we francuskim stroju. Przyszedł tu, bo został zaproszony.

Zszedł ze skutera na pomost i poprawił perukę, wtedy też włąz w dolnej części zaczął się otwierać. Tak, jak się spodziewał, był to dźwięk ulatującej pary wodnej i szczerku łańcuchów, a nie elektrycznego silnika. Ze środka po-wiał zapach kurzu, wosku i lekkiej stęchlizny. W przejściu stanął On. Nosił najwspanialszy strój, jaki Mateusz kiedykolwiek widział, tak inny od jego

własnego, a przecież z tego samego okresu. Przy jego ozdobach sztuczna biżuteria Mateusza rzeczywiście wyglądała na sztuczną. Jego najprawdziwsza peruka przyćmiła wielkością cały futrzany twór. Lakierki błyszczały się tak samo, jak jego statek kosmiczny. W ręku trzymał laskę z białą kulką, pomniejszoną wersję tego, co znajdowało się tuż za nim.

— Jestem Profesor Kula. Miło mi pana gościć na moim statku.

Antyrax wyszedł z worka, gdy z Dedirid została już tylko kupka popiołu. Jeszcze ośmiu. Tym razem demony nie bardzo chciały go atakować. Antyrax więc wskazał jednego z nich palcem, niczym sędzia młotkiem, właśnie skazanego na śmierć. Lenna. Pora na mikropomysły. Sięgnął do worka i od razu złapał to, czego szukał.

— Waćpan Mateusz Mechalyczny, jak mniemam — powiedziałem. — Waćpan Mateusz Mechalyczny niepewnie, acz szybko schował się za framugą wjazdu.

— Proszę wybaczyć mi mój ubiór i maniery, Panie Profesorze Kula. — Ukłonił się prawie do ziemi. — Musiałem przedrzeć się przez kordon wojska, aby przyjść do pańskiej Kuli.

— Nazywam się Kula, mości Mateuszu Mechalyczny, nie Kula — poprawiłem, kręcąc korbą wjazdu. — A ta kula nazywa się Kula.

— Kula... — niepewnie odpowiedział.

— Nie Kula, Kula. Moje nazwisko, nazwa statku, i bryła geometryczna. Kula, Kula i kula. To trzy różne słowa, zupełnie inaczej wymawiane.

Mateusz Mechalyczny podrapał się po głowie, ścierając puder.

— Ignoruj go, on mówi i słyszy na częstotliwościach poza naszym zakresem. — Katarzyna Kosmata przysunęła się do nas, nawet się nie witając. — Jestem Kasia, cześć.

— Katarzyno Kosmata! — skarciłem ją. — Maniery! Nie prezentuj złego przykładu naszemu gościowi.

Gość jednak utopił wzrok w jej sukni, nachalnie gapiąc się na każdą część jej ubioru. Już się cieszyłem, że chociaż on będzie tu potrafił zachować maniery. Najgorsze, że ona sama wręcz zaczęła tłumaczyć mu co i skąd na niej pochodzi.

Najpierw zawiesił oczy na jej biuście, wodząc źrenicami to w lewo to w prawo. Najprawdopodobniej podziwiał plecionkę z anielskich włosów, którą obszyta była suknia. Anielskie włosy są całkowicie przezroczyste, gdy odpadną od właściciela. Aby stworzyć ten element ubioru, trzeba było najprawdopodobniej obmacywać kąty w każdym z niebiańskich biur w czwartej kwadrze.

— Trafiłam przez to na dywanik ministra poprawnego zachowania, chciał to podciągnąć pod brak szacunku dla aniołów, ale wybroniłam się, że to przecież dla wspaniałej sukni, którą będę pokazywać wszystkim wokół i opowiadać o Królestwie Bożym. Nie mogli przecież zabronić mi nawracać.

Następnie zszedł niżej, aby przyjrzeć się lepiej pasowi. Katarzyna lubiła się ubierać w nieprawdopodobnie kosztowny ubiór, lecz jej pas był wykonany ze zwyczajnego, ziemskiego jedwabiu. Może chciała tym pokazać, że jej suknia jest w równym stopniu stworzona ze składników z całego wszechświata?

Po pasie, przyszedł czas na szyję. Katarzyna założyła tym razem kolię ze zmutowanych pereł Khaliniskali... czy to była Rezurma... nie pamiętam, kto ostatnio przejmował stolicę tej... Planety Wojny, jak ją wszyscy nazywają. Mieniły się i pulsowały wszystkimi kolorami tęczy. Od podczerwieni, po nadfiolet. Te perły można znaleźć tylko w małżach, żyjących w skażonym jeziorze na północy kontynentu Terb. Zdaje się, że to albo Czarna Armia, albo Komodowa utopiła tam zbiorniki z kancerogennym żelazem, w celu wewnętrznego wyniszczenia przybrzeżnego miasta Hirten. Nie udało się, mieszkańcy Hirten wyczuli podstęp i zamiast umrzeć na nowotwory od picia skażonej wody, poumierali z pragnienia. W każdym razie życie w jeziorze przeszło nieprzyjemne zmiany fizyczne.

Buty. Był to wspólny wytwór czterech Khrnzrhkh. Najpierw poprosiła Chrrkrhkrkk o stworzenie lodowej podstawy. Potem pewnie Iłiscirr obudował to swoją czarną rkkizniisi, Buffsirr dodał czerwone wkładki ze swoich buffzerda, a Fluszsrisss utwardził swoim ogniem.

— Te buty zostały zrobione przez potworów, najpierw Mikołaj stworzył lodową podstawę, Psychit zalał ektoplazmą, Pyrroq dodał bomby, a Plazma utwardził ogniem. — Katarzyna kosmata właśnie spowodowała, że kolejna osoba będzie nazywać Khrnzaalk potworami, zamiast normalnie w ich własnym języku.

Zahaczył o wachlarz. Ten był stworzony z półprzezroczystych łusek białego cyrkowca. Te smoki wyginęły doszczętnie po ataku czerwonych kartaczy na ich planetę. Właściwie jedyne cyrkowce można teraz znaleźć w zoo w Capitalu. Szkoda ich, miały wspaniałą kulturę. Cyrkowe baśnie do dziś opowiada się małym smoczkom do legowiska, a cyrkowi malarze są niedoścignionym przykładem talentu we właściwie całym wszechświecie. Pokonani przez bandę zwierząt. Żeby chociaż bordowe pasowce, ale nie. Najgorsi z najgorszych zarżnęli i pożarli najlepszych.

Ostatecznie popatrzył się na jej twarz. Nie, nie na twarz, a na makijaż. Oczywiście, Katarzyna Kosmata nie mogła spocząć na prawie wymarłych smokach. Puder był stworzony ze zmieszanych ciosów mamuta. Jak ona odkopała je z syberyjskiego błota i wybieliła, tego nie wiem.

— Przekonałam Chronosa, żeby odwrócił trochę czas i przywrócił im

świeżość.

Nikommu się nie udało przekonać kiedykolwiek Chronosa do dobrowolnego używania mocy! Jak ona to zrobiła?

Poszedł wyżej. Jej fryzura była przeogromna. A wszystko to naturalne włosy, ich wzrost był stymulowany tą ich obrzydliwą światłową technologią, laserem bodajże. Można na pewno by osiągnąć ten sam efekt, używając normalnej pary i mechanizmów, a nie diabelskiego prądu.

Na włosach siedziały jej skrzące się motyle. Co jakiś czas, któryś wzbijał się w powietrze, robił pętlę wokół jej głowy i lądował z powrotem. Były to najprawdziwsze motyle, hodowane i tresowane w tajnej placówce pod motylarną w Burggarten. Ciekawe, jak je zdobyła. Pewnie jak gdyby nigdy nie przyszła tam do nich w tej sukni, z szyfratorem w ręce, i powiedziała: „Dajcie mnie tresowanych motyli na głowę, bo zaraz mam bankiet we wielkiej, latającej kuli.” Być może tylko po to w ogóle przyjechała do Wiednia. Po motyle i po to, żeby wsiąść do Riesenrad i pojechać wagonikiem na sam szczyt, gdzie specjalnie umówiła się ze mną, abym podleciał Kulą. Następnym razem pewnie stanie na szczycie Empire State Building, a Kula będzie robiła za King Konga. Czy można się uzależnić od amnezji, którą pokryty jest statek? Uzależnić od siania paniki w ludziach, którzy i tak za chwilę o wszystkim zapomną?

Przeczyściłem gardło.

— Znaczy... witam... bardzo mi miło, dzień dobry... eee... Kasiu-ażyno.

— Stał bez ruchu kilka pulsów, aż zdecydował się delikatnie ująć jej dłoń i pocałować. Ważne, że się stara. — Ja Mateusz... jestem.

Katarzyna Kosmata odprowadziła nas do głównej sali, gdzie czekał już zastawiony stół dla czterech osób.

— Na naszym bankiecie spodziewamy się trzech gości — oznajmiłem zgromadzonemu. — Zatem dołączy do nas jeszcze jedna osoba. Będzie to Nadar Nocny, którego odbierzemy z Atlantyckiego Laboratorium Dna Morskiego.